

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

1.10.72

40 (776) Rok XV Cena 1.50 zł

W środku Polski

ROZMOWA O PERSPEKTYWACH

ROZWOJU REGIONU

Prof. dr hab. TA-DEUSZ OLSZEWSKI jest kierownikiem Zakładu Geografii Ekonomicznej Uniwersytetu Łódzkiego, zastępcą dyr. Instytutu Geografii UL, autorem licznych prac naukowych i podręczników uniwersyteckich z geografii ekonomicznej.

Od wielu lat pełni funkcję przewodniczącego Rady Naukowej przy Prez. WRN w Łodzi. Bierzemy czynny udział w pracach Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju, Komitetu Nauk Geograficznych PAN i wielu innych rad naukowych.

Wykłada geografie ekonomiczną na Łódzkim WUML-u. Jest członkiem komisji radzieckich przy Prez. WRN, członkiem wielu organizacji roku.

— Jakim zdaniem Pana Profesora, węzłowe problemy naszego regionu wymagają rozwiązań priorytetowych?

— Jednym z nich jest bez wątpienia pełna integracja gospodarcza i społeczna Łodzi i województwa. Na obszarze środkowej Polski, w jego centrum, znajduje się naj-

Dalszy ciąg na str. 6



Bezspornie można by sobie ten temat darować. Wszak lepiej i ciekawiej jest pisać o rzeczach już dokonanych, niż o będących jeszcze w kokonach zamierzeń, gdyby nie jedno ale... Gdyby nie fakt, że sprawy plastyki w naszym mieście i w całym zresztą kraju układają się niezbyt pomyślnie, budząc wiele niepokojów i wątpliwości zarówno w samym środowisku, jak i pośród odbiorców, zaangażowanych w te problemy.

A lista problemów i pytań, pozostających bez rozwiązania i odpowiedzi jest imponująco długa: jakie jest miejsce twórczości plastycznej na mapie kulturalnej kraju, jaki dziś sens ma twórczy wysiłek i jaka jest jego przydatność — w takich formach, w jakich u nas występuje — dla społeczeństwa, jaka jest sytuacja plastyków w tymże społeczeństwie, jakie jest aktualne zapotrzebowanie społeczeństwa na dzieło sztuki, a jakie winno być w przyszłości i na jaką sztukę, jakie kroki i jakie inicjatywy podejmowane są przez Związek Plastyków i inne insty-

tucje kulturalne, aby dzieło plastyczne spopularyzować, upowszechnić wśród szerokiego społeczeństwa i które to z owych inicjatyw zasługują na kontynuację, a z których zrezygnować należy jako z nieprzypadkowych czy wręcz szkodzących spraw, zastępując je innymi? To zaledwie kilka tematów z tej długiej listy. To zaledwie kilka wybranych problemów bo nie wyliczyłem na przykład różnych kwestii socjalno-bytowych, artystycznych, stypendiów zagranicznych i krajowych, wystaw zagranicznych, kwestii monstrualnych przepisów celnych, stosowanych przy wysyłaniu dzieł aktualnie powstałych za granicę...

Dyskusja nad nimi wszystkimi trwa od lat i najlepszym dowodem, jak mało jest ona konstruktywna, jest właśnie fakt jej trwania przy nie zmienionych parametrach merytorycznych. Sofistyczne gadulstwo, jak dotąd, niewiele przyniosło efektów praktycznych. Polska plastyka egzystuje na marginesie naszego życia kulturalnego i nie jest to zwrot retoryczny

W TEATRACH

Rozpoczął się sezon teatralny. Niemal co kilka dni któryś z teatrów występuje z nową premierą. Teatry zgłosiły też swoje propozycje repertuarowe. W najbliższym czasie Teatr Wielki gościć będzie zagraniczne zespoły: Operę z Lipska, Narodowy Balet Kuby, New York City Ballet i Operę Koreańską. Na brak interesujących pozycji nie można więc narzekać. Będziemy starali się w miarę naszych możliwości dawać Czytelnikowi ocenę poszczególnych widowisk, a także pewnych problemów z życia teatralnej Łodzi.

Dzisiaj prezentujemy trzy recenzje:

WANDY KARCZEWSKIEJ z przedstawienia „Antygony” Sofoklesa w Teatrze im. Stefana Jaracza.

ANDRZEJA F. GRABSKIEGO z przedstawienia „Cyrana de Bergerac” E. Rostanda w Teatrze Ziemi Łódzkiej.

TERESY WOJCIECHOWSKIEJ z „Krainy uśmiechu” F. Lehara w Teatrze Muzycznym.

Kto podkłada siekierę pod busolę?

W dniach od 5 do 8 kwietnia br. obradował w Poznaniu XIII Zwyczajny Walny Zjazd Delegatów Związku Polskich Artystów Plastyków. W miesiąc potem, w początkach maja odbyły się wybory nowych władz Zarządu Okręgu ZPAP w Łodzi. Na kalendarzach już wrzesień, więc proponuję zajrzeć do planu pracy nowego Zarządu na czas kadencji 1972—1974, bowiem upłynęło od chwili wyborów dostatecznie dużo czasu, aby plan ów sprecyzował się ostatecznie i przypasowany został nie tylko do ambicji, ale i do realnych możliwości.

a fakt ogólnie wiadomy. Pod płaszczykiem, pięknym zresztą, międzynarodowych sukcesów polskiego plakatu, polskiej scenografii, polskiej tkaniny, sukcesów jakiejś jednej, piątej czy dziesiątej wystawy naszej sztuki w Ameryce czy w Afryce, w kraju twórczość plastyczna zamknięta jest w pracowniach i na wystawach, które budzą mniejsze w społeczeństwie zainteresowanie niż zeszlodziły śnieg.

Spółczesność z aktualnej twórczości plastycznej nie korzysta, w takim stopniu, w jakim powinno, a co najgorsze — nie korzysta z niej również młodzież szkolna i studenci wyższych uczelni. Aparat szkolnictwa nie potrafił rozbudzić w młodzieży czynnego głodu sztuki, potrzeby obcowania na co dzień z dziełem sztuki. Z teatrem, z książką, z filmem młodzież jeszcze się styka, ale obraz — to już inna

parafia. Niech nikt mi nie odpowiada na to, podtykając pod nos sprawozdania i statystyki, że tyle to a tyle tysięcy ludzi zwiedziło tyle a tyle wystaw. Po pierwsze — są to znikome procenty, a po drugie, czy zadano sobie trud zbadania, jacy ludzie i ile razy chodzą na wystawy? Ja na przykład niektóre wystawy oglądam pięć, sześć i więcej razy i takich oglądaczy jest wielu i oni tworzą ogromny procent statystyczny. A młodzież, środowiska robotnicze, wieś? — to dziewczęce rejonu nie skażone kontaktem z obrazem, grafiką, rzeźbą.

Wycieczki na Wawel i do Wita Stwosza nie rozwiążą tu niczego i raczej zniechęcą do korzystania z dóbr kultury. Kto jest innego

Dalszy ciąg na str. 4



Jerzy Nowakowski

Anioł śmierci odleciał...

Dla mnie powstanie warszawskie zakończyło się szybko.

Czytaj na str. 8



Niemiecka Republika Federalna nie ma parlamentu. Taktyczny plan Brandta powiódł się: postawił on wniosek o wotum zaufania i nie otrzymał go, prezydent Heinemann mógł więc rozwiązać Bundestag. W ten sposób rozpoczął się okres przygotowań do nowych wyborów. Odbędzie się one 19 listopada, a najprawdopodobniej dokładnie w miesiąc później zbierze się nowy parlament, który powoła nowego kanclerza. Do tej pory obecny gabinet działał bez kontroli Bundestagu.

Przed trzema laty — 21 października 1969 roku kanclerz Brandt otrzymał w parlamencie 251 głosów, ale partie koalicji dysponowały jeszcze trzema głosami więcej (opozycja — 242 głosy). Większość ta jednak topniała, prowadząc do układu remisowego 248:248. Parlament praktycznie sparaliżowany został w działaniu. Droga do odblokowania tej sytuacji prowadzić może tylko przez nowe wybory. Podkreślił to w czasie debaty w ub. tygodniu W. Brandt, stwierdzając, że złożenie przez niego wniosku o wotum zaufania nie ma nic wspólnego z kryzysem rządowym — kryzysem polityki zagranicznej i wewnętrznej. Paraliż parlamentu nastąpił dlatego, że kilku deputowanych sprzeniewierzyło się woli wyborców i przeszło do opozycji. Kanclerz wyraził nadzieję, że wyborcy, do których SPD i FDP teraz się odwołują, przywrócą właściwe proporcje i zapewnią zwycięstwo obecnej koalicji. Sukces wyborczy — opozycji CDU/CSU byłby znaczącym cofnięciem.

Okres rządów Brandta — wbrew temu, co głosili z trybuny Bundestagu niektórzy przedstawiciele opozycji — należy z pewnością do najbardziej aktywnych w polityce NRF. Zwłaszcza w dziedzinie zagranicznej. Sprośdzenie zachodniemieckiej polityki na realne tory, w rezultacie czego było możliwe zawarcie doniosłych układów i porozumień ze Związkiem Radzieckim, Polską i NRD, jest największym atutem wyborczym dotychczasowej koalicji. Ponad 40 mln wyborców, a w tej liczbie prawie 5 mln młodych, będzie to mogło ocenić w listopadzie.

Chadecja, jak można przypuszczać, koncentrować będzie swą kampanię na problematyce wewnętrznej, chociaż jej przywódca — Barzel wplótł do swego przemówienia w Bundestagu również wątek zagraniczny. Otwarcie przyznał, że jego partia, jeśli dojdzie do władzy, będzie wobec procesu normalizacji z krajami socjalistycznymi zajmować postawę bardzo twardą. Tak, jakby znormalizowanie stosunków leżało tylko w interesie tych krajów i było rozbieżne z interesami NRF. W trzyletnim okresie pozostawania w opozycji chadecja znacznie częściej kontrolowała posunięcia rządu niż zarysowywała swój własny program rozwiązania problemu. Szczyci się też tym, że zablokowała działalność parlamentu. To jednak zbyt mało, aby wygrać wybory. Jaki więc będzie jej program na przyszłość?

Można oczekiwać, że kampania wyborcza w NRF będzie miała gwałtowny i ostry przebieg. Będziemy też do tematu powracać w kolejnych przeglądach aktualności, a teraz przejdziemy się do zachodniego sąsiada NRF — Francji.

Prezydent Pompidou odbył kolejną, siódmą od jego wyboru, konferencję prasową. W znacznej części poświęcił ją problematyce wewnętrznej: zagadnieniom gospodarczym, konstytucyjnym, niezbędności uproszczenia administracji... ale też wiele miejsca wypełniły kwestie międzynarodowe. Prezydent wyjaśnił, dlaczego podjął inicjatywę zwołania szczytu zachodnioeuropejskiego, potwierdził znane stanowisko Francji wobec Wietnamu, stwierdził, że palestyński aktom terroru nie będzie można położyć kresu do czasu rozwiązania problemu palestyńskiego.

Prezydent Francji mówił również o znaczeniu wizyty Edwarda Gierka w jego kraju. Wielkość Polski, jej obecność w polityce międzynarodowej i aktywność w zapewnieniu trwałego pokoju, a także fakt, że nigdy nasze narody nie walczyły przeciwko sobie — określają płaszczyznę stosunków francusko-polskich. Z tradycji i współczesności wynika znaczenie tej wizyty, przypomnijmy, rozpoczynającej się 2 października.

We francuskich kołach miarodajnych podkreśla się, że trzeba na nią spojrzeć nie tylko w aspekcie stosunków dwustronnych, lecz także w kontekście europejskim, zwłaszcza, że odbędzie się ona niemal w przededniu podjęcia bezpośrednich przygotowań do europejskiej konferencji.

Z innych wydarzeń tygodnia zwrócimy uwagę na przyjęcie przez Komitet Ogólny ONZ, który rozpatrywał porządek dzienny XXVII sesji, inicjatyw krajów socjalistycznych. I tak aprobatę znalazły wnioski o włączenie do porządku dziennego problemów: nieużywania siły w stosunkach międzynarodowych i zakazaniu na zawsze używania broni nuklearnej, zwołania światowej konferencji rozbrojenia, kontynuowania prac nad pokojowym wykorzystaniem przestrzeni kosmicznej, rozpatrzenia we wszystkich aspektach konwencji o zakazie broni chemicznej, wykonania postanowień deklaracji o umocnieniu bezpieczeństwa międzynarodowego. Nie przyjęto tylko jednego wniosku — o podjęciu debaty na temat pokojowego i niezależnego zjednoczenia Korei. Tę debatę kraje NATO i SEATO chcą odłożyć na później.

Wynik obrad Komitetu Ogólnego jest wstępny sukcesem krajów socjalistycznych na sesji ONZ i rokuje dobre nadzieje.

W. SŁAWSKI

16 września wystartowała już po raz szesnasty „Warszawska Jesień” — Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej. Jak zapowiedział przewodniczący komitetu organizacyjnego, prof. S. Siedziński, obecna „Jesień” odbędzie się pod znakiem prawykonań polskich. Wśród utworów przedstawionych słuchaczom zasadniczą większość to prawykonywania polskie i światowe (64 z 84 kompozycji przewidzianych w programie 18 imprez). Wykonawcami będą nasze reprezentacyjne zespoły, jak orkiestra i chór Filharmonii Narodowej, WOSPR, filharmonicy śląscy oraz zagraniczne orkiestry symfoniczne — z Lipska i Brukseli.

22 bm. odbyło się kolejne posiedzenie Rady Ministrów na którym dokonano oceny realizacji podstawowych zadań Narodowego Planu Gospodarczego za miesiąc sierpień i za 8 m-cy br. Ocena ta jest pozytywna, o czym świadczyć może przytoczenie choćby kilku najważniejszych liczb. Produkcja wzrosła o 11,9 proc. przy jednoczesnej poprawie struktury produkcji na rzecz artykułów konsumpcyjnych, których przyrost szacuje się na 13 procent. Oceniono również pozytywnie handel zagraniczny, w którym nastąpił ponadplanowy wzrost obrotów. Mimo trudnych żniw sytuację w produkcji roślinnej określono jako pomyślną, przy wyrażeniu korzystnych tendencji jakie występują w hodowlach trzody chlewnej i bydła. Należy również podkreślić, i jest to niejako sprawdzian prawidłowości, rozwoju gospodarczego, że mimo wysokiego wzrostu dochodów ludności, zapewniono zrównoważenie sytuacji na rynku.

20 bm. na Wybrzeżu Gdańskim przebywał Edward Gierk wraz z członkami Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR, zapoznając się z przebiegiem prac na naszej największej inwestycji gospodarki morskiej — budowa Portu Północnego. Podczas wizytacji stwierdzono, że wszystkie prace są prowadzone z pewnym wyprzedzeniem w stosunku do harmonogramu. Sprawnie przebiegają prace przy budowie falochronu głównego, roboty ziemne, montażowe i instalacyjne, realizowane wysiłkiem 1500-osobowej załogi z 12 przedsiębiorstw. Obecny stan daje gwarancję, że za 2 lata Port Północny podejmie przeladunki węgla, a w roku 1975 — import ropy naftowej. Po zakończeniu obecnego etapu budowy w porcie będzie

olimpijczykom, trenerom i działaczom. Podczas uroczystości przewodniczący Rady Państwa, prof. Henryk Jabłoński, stwierdził, że sukcesy w Igrzyskach Olimpijskich są możliwe, kiedy prawidłowo rozwija się ruch sportowy wśród młodzieży, jeśli wyczyn ma szerokie zaplecze w sporcie masowym. Najwyższe odznaczenie przyznano wielokrotnej medalistce olimpijskiej Irenie Szewińskiej — Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. Mjr Józef Zapędzki, który w imieniu sportowców podziękował władzom za troskliwą opiekę nad sportem, odznaczony został Krzyżem Oficerskim.

Przez kilka dni w porcie gdyńskim cumował oryginalny statek wystawa, japoński „Shin Sakura Maru”.

najrozmaitsze urzędnika gospodarstwa domowego. Pływająca wystawa japońskiego przemysłu ma już sporą tradycję. W ciągu ostatnich 15 lat zawinęła do portów 83 krajów.

Przygotowania do VII Kongresu Związków Zawodowych wchodziły w etap końcowy. Po ostatnim Plenum CRZZ rozpoczęły się krajowe zjazdy zw. zaw. poszczególnych branż. W ubiegłym tygodniu odbyły się zjazdy pracowników spółdzielczości pracy, pracowników rolnych i chemicznych. Również w największych zakładach przemysłowych w kraju odbywały się konferencje organizacyjne związkowych, które m. in. wybierają bezpośrednio delegatów na Kongres.

Ponad 1600 tytułów podręczników, książek pomocniczych i skryptów o łącznym nakładzie ponad 2 mln. egzemplarzy przygotowało Państwowe Wydawnictwo Naukowe na nowy rok akademicki. W br. ukazały się 243 tytuły spośród 307 przewidzianych do wydania. Dzięki systematycznie od lat prowadzonej aktualizacji podręczników, wszystkie obecnie wydane pozycje są dostosowane do aktualnych programów studiów.

Jeszcze we wrześniu na półkach księgarskich ukaże się pierwszy tom nowej serii międzywydawniczej „Biblioteki XXX-lecia”. Cykl ten obejmie 100 najwybitniejszych utworów prozatorskich, poetyckich i dramatycznych naszej powojennej literatury. Biblioteki utworzą „Wiersze i poematy” Władysława Broniewskiego.

J. ZAK.



można przeladować rocznie 11 mln. ton węgla i ładunków plynnych.

Za godne reprezentowanie barw narodowych i wieloletnią pracę włożoną w rozwój i popularyzację sportu Rada Państwa przyznała odznaczenia państwowe 58

Na supernowoczesnym statku, który sam jest ofertą handlową, ponad 400 firm prezentuje swoje wyroby. Najwięcej miejsca na ekspozycji zajmuje elektronika, przemysł maszynowy, modele urządzeń technologicznych, artykuły motoryzacyjne, sprzęt rolniczy, oraz

■ PRZED KONGRESEM ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH. Zbliży się VII Kongres Związków Zawodowych. W zakładach pracy Łodzi w województwie, w poszczególnych środowiskach zawodowych odbywają się dyskusje na aktualnymi problemami ludzi pracy, a także wybiera się delegatów na Kongres. Swoich delegatów wybrała już załoga jednego z największych przedsiębiorstw przemysłu bawełnianego — LZPB im. OBROŃCÓW POKOJU — „UNIONTEX”. Delegatami zostali: Henryk Kowalski, Marta Mozel, Elżbieta Kleischild i Lucjan Pierzecha.

■ MISTRZOWIE ORKI. Stało się tradycją, że jesienią spotykają się najlepsi traktorzyści, aby współzawodniczyć o tytuł mistrza orki województwa. W tym roku mistrzem orki w województwie łódzkim został Kazimierz Paś z kółka rolniczego we wsi Krzak, w powiecie sieradzkim. Również ubiegłoroczny mistrz orki pracował i pracuje w kółku rolniczym w Krzakach. Był nim Mirosław Witkowski.

■ U PROGU SEZONU. Po repertuarowych zapowiedziach łódzkich teatrów dramatycznych przyszła kolej na teatry muzyczne. Jeszcze na ten rok Teatr Wielki zapowiada nową inscenizację „Halki” St. Moniuszki, a także balet „Szach Mat” A. Blissa i „Traviatę” G. Verdiego.

Natomiast Teatr Muzyczny pokaże jeszcze w tym roku „Opiekuna mojej żony” P. Hertla i „My chcemy tańczyć” W. Pietrowa.

Co czeka nas w roku przyszłym? Zapowiedzi są interesujące. Teatr Wielki zapowiada premierę „Diabłów z Londynu” K. Pendereckiego. Poza tym klasykę. W zapowiedziach Teatru Muzycznego jest adaptacja szekspirowskiego „Wieczoru Trzech Króli”. Nie chcemy ujawniać dalszych planów repertuarowych łódzkich teatrów muzycznych, gdyż z praktyki wiemy, że nie wszystkie zamierzenia mogą zostać zrealizowane.

■ KAŻDEGO STAC NA PUNKTUALNOŚĆ. Już po raz trzeci „EXPRESS ILLUSTR-

WANY” ogłosił Dzień Zegara. W tym roku dniem punktualności była sobota, 23 września. Dzień ten odbył się pod hasłem: „KAŻDEGO STAC NA PUNKTUALNOŚĆ”. Gazeta zaproponowała Czytelnikom wymianę doświadczeń, uwagi, spostrzeżeń, na temat punktualności własnej i cudzej. Autorzy ciekawych wypowiedzi otrzymają nagrody. Oczywiście, główną nagrodą będzie zegar z kulką, a dalszymi — budziki.

Taki „Dzień Zegara” przebiegałby się nam na stałe. Punktualność nie jest bowiem naszą narodową zaletą. Marowanie czasu jest powszechne. A przecież czas ma swoją cenę. Każda stracona minuta drogo kosztuje nas i naszą gospodarkę w wielkim ciągu z innymi krajami. Zdajemy przecież sobie sprawę, że musimy niektóre kraje nie tylko dogonić pod względem rozwoju techniki i gospodar-

A na jej przygotowanie ekipy specjalistów miały dość czasu. Dlaczego nadal więcej uwagi przykładamy do deklaracji na temat naszej gotowości, a później musimy się wstydić, gdy nie pokrywają się z rzeczywistością.

■ NADZIEJA NA TYTUŁ MISTRZA POLSKI. Siatkarki łódzkiego „Startu” wyjechały na międzynarodowy turniej do Dortmundu w NRF, gdzie spotkają się z mistrzowskimi zespołami Belgii, Bulgarii, Holandii, Węgier, Włoch i ZSRR.

Z początkiem listopada rozpoczyna się rozgrywki o mistrzostwo I ligi. W pierwszym etapie zespół „Startu” będzie grał z „Legią”. W następnym — cztery najlepsze drużyny grać będą o tytuł mistrza Polski, a pozostałe o utrzy-

ci Andrzeja Frycza Modrzewskiego.

■ NAGRODA DLA „SEMAFORA”. Na I Międzynarodowym Biennale Filmu Astronautyczno-Kosmicznego w Paryżu nagrodę specjalną za film dla najmłodszych zdobył „Colargol w Kosmosie” — jeden z odcinków polskiej serii filmowej „Przygody misia Colargola”, przygotowanej przez „Semafor” w Łodzi. Gratulujemy!

■ „WUKO” — JEDYNA W POLSCE. Łódzka Wytwórnia Urządzeń Komunalnych — WUKO produkuje urządzenia do oczyszczania miast. W kooperacji z zachodniemiecką firmą „WOMA” zbudowano wielki uliczny odkurzacze. Zmodernizowano też samochód do mechanicznego załadowywania pojemników ze śmieciami.

Łódź może być dumna z sukcesów tej jedynej w kraju wytwórni, ale byłoby też dobrze, gdyby prototypy i nowe urządzenia przechodziły próby techniczne na łódzkich ulicach. W mieście byłoby może znacznie czystiej.

■ DOBRE CHĘCI NIE WYSTARCZA. Olimpiada w Monachium spowodowała wielkie zainteresowanie kupnem telewizorów. Sprzyjały temu różne udogodnienia wprowadzone przy kupnie odbiorników telewizyjnych przez ZURIT. Ale kupić telewizor, to najpierw przyjemność, radość, która w każdej chwili może się przerodzić w zmartwienie. Szczególnie, jeśli posiadacz telewizora mieszka na wsi.

Zelektryfikowana wieś coraz więcej kupuje telewizorów. Tak jest np. na wsi w powiecie Rawa Mazowiecka. Ale ZURIT w Rawie Mazowieckiej dysponuje tylko jednym zakładem naprawy telewizorów. Na wsi nie ma ich wiele. Wiejski posiadacz telewizora w przypadku awarii musi więc jechać do miasta, a tam od dawny aparat do reperacji przez długi czas obywać się bez telewizyjnego programu w domu.

Albo czy tak jest tylko na wsi w powiecie rawsko-mazowieckim?

M. RODAK



ki, a także pod względem rozwoju różnych form życia społecznego i kulturalnego, ale też nadrobić opóźnienia w stosunku do krajów wysoko rozwiniętych. Musimy więc uczuć się cenić czas własny i społeczny.

■ CIEPŁO DO MIESZKANIA. TRAFIA Z OPORAMI. Podjęto już decyzję o próbnym uruchomieniu cieplej w mieście. Okazało się jednak, że akcja ta, którą powtarza się przecież co roku nie przebiega tak sprawnie, jak można było się tego spodziewać.

manie się w I lidze. Jeszcze przed meczami ligowymi siatkarki łódzkiego „Startu” wezmą udział w turnieju krajowym „Wisły” o „Srebrną siatkę”.

Na swoim koncie mają już puchar „Sportowca”. Zyczymy dalszych sukcesów!

■ PREMIERA TEATRU ZIEMI ŁÓDZKIEJ. W ubiegłym tygodniu Teatr Ziemi Łódzkiej wystąpił z premierą sztuki Haliny Auderskiej „Rzeczpospolita zapłaci”. Sztukę tę TZL wystawił w związku z 400 rocznicą śmier-

Na starym drzeworycie L. Nowakowskiego, zamieszczonym w „Tygodniku Ilustrowanym” z 1866 roku, przedstawiona jest panorama placu Wolności z czasów, kiedy był on centralnym punktem Łodzi. W owym czasie plac ten zwal się Nowym Rynkiem, w odróżnieniu od Starego Rynku, położonego na przeciwnym brzegu rzeki Łódki.

Rynek Nowomiejski powstał w 1823 roku jako centrum założonego przez Rajmunda Rembielińskiego osiedla sukienniczej Nowe Miasto. Projektantem rynku jak i całego osiedla był geometra Filip Viebig. Przy Nowym Rynku, zaprojektowanym w kształcie ośmioboku wytyczono 16 placów budowlanych. Pierwszą parcelę objął szynkarz Jan Adamowski. Przybył on do Łodzi w 1820 roku i widząc ruch wokół regulacji osady sukienniczej, wystawił w 1824 roku pierwszy budynek w rynku Nowego Miasta, na prawym narożniku ulicy Nowomiejskiej. Dom był drewniany, parterowy i służył jako szynk i zajazd. Nie było to po myśli Rembielińskiego, toteż polecił on kategorycznie burmistrzowi miasta, Antoniemu Czarnowskiemu, ażeby w przyszłości na Nowym Rynku „nie inne, tylko masywne muryne piętro-we domy były budowane”.

Siedzibę władz miejskich Rajmund Rembieliński przeniósł do Nowego Miasta, przeznaczając pod jej budowę plac narożny u wylotu traktu do Piotrkowa. Budowę ratusza powierzono przedsiębiorcy ze Zgierza, Janowi Lebeltowi. Budynek stanął w ciągu roku, ale z powodu pośpiechu roboty wykonano niedokładnie i przez szereg lat je uzupełniano.

Nowa siedziba władz miejskich, ukończona w 1827 roku, prezentowała się okazale i mogła służyć za wzór do planowanej zabudowy Nowego Rynku w jednolitym stylu klasycystycznym. Na piętrze ratusza mieściło się biuro burmistrza oraz jego prywatne mieszkanie. Pomieszczenia parterowe przeznaczono na kasę miejską, archiwum i biura policji. W sklepionych podziemiach urządzono areszt.

Zegar na wieżycie ratuszowej jest darem fabrykanta z Ozorkowa, Fryderyka Schloessera. Założenie zegara napotkało na przeszkodę, gdyż nie było w Łodzi zegarmistrza, a z miast sąsiednich żaden nie podejmował się zainstalowania urządzeń zegarowych. Dopiero w 1834 roku zegarmistrz, Michał Strangos dokonał montażu zegara na wieży ratuszowej i uruchomił mechanizm.

W 1862 roku dobudowano do ratusza od strony Piotrkowskiej piętrowy pawilon, w którym ulokowały się biura policji. Na początku pierwszej wojny światowej siedziba władz miejskich poważnie ucierpiała na skutek wybuchu granatu, zrzuconego z niemieckiego samolotu na plac przed ratuszem. Ratusz był siedzibą władz miejskich do 1915 roku. Później znalazło w nim schronienie Archiwum Akt Dawnych.

Kościół ewangelicki św. Trójcy, zbudowany w tymże czasie co ratusz. Na skutek wzrostu ludności ewangelickiej w Łodzi kościół ten został niemal całkowicie wyburzony, a na jego miejsce postawiono w latach 1890–1891 dużo większą świątynię o cechach architektonicznych neoromańskich.

Warunek Rajmunda Rembielińskiego, ażeby przy Nowym Rynku wystawiano tylko muryne domy, nie sprzyjał szybkiej zabudowie rynku. Do 1830 roku stały tu zaledwie trzy domy, nie licząc zajazdu Adamowskiego. Pierwszą kamienicę wystawił radny miejski, Antoni Bittorf, na posesji oznaczonej dzisiaj nr 7. Był to budynek muryany, jednopiętrowy, kryty karpówką. W ślad za Bittorfem poszli majstrowie murarscy: Fryderyk Kunkel i Mateusz Stoll, którzy na

ny punkt Nowego Miasta raził swoją martwością. Ożywić go mógł handel. Burmistrz zwrócił się więc do władz zwierzchnich z następującą petycją:

„Rynek ten z powodu braku handlujących nie ma widoku do zabudowania go resztujących placów; przez wybudowanie jatek plac dwa zajętymi zostaną; a nadto przez pomieszczenie tej budowl więcej starających się będzie o zamieszkanie tej części miasta i może być, że resztujące place zabudowanymi wkrótce zostaną”.

muryne filary, a szczyty kryte gontami. Projektantem ich był architekt warszawski, Henryk Marconi.

W tym samym czasie Jan Reuter otrzymał pod budowę plac oznaczony dzisiaj nr 4, zaś Ludwik Koenig – nr 6. W dwa lata później aptekarz Bogumił Zimmermann obrał sobie wolne place obok ratusza i zbudował dwa domy muryne jednopiętrowe. W 1854 roku na wolnym terenie pomiędzy kościołem i jatkami wyrósł obszerny budynek powiatowej szkoły realnej. Wolny plac po wyburzeniu dawnego zajazdu Adamowskiego przeznaczono pod nową świątynię katolicką, ale projekt ten nie został zrealizowany.

W latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia Rynek Nowomiejski, obramowany szeregiem ładnych domów o dwóch kondygnacjach, wraz z ratuszem i kościołem tworzył harmonijną całość architektoniczną. Niestety, estetyczną architekturę placu zepsuły późniejsze nadbudowy domów. W 1840 roku rynek Nowego Miasta otrzymał nawierzchnię z polnego kamienia. W tymże czasie wystawiono tu cztery studnie z pompami, z których jedna zachowała się do dziś. W 1869 roku zainstalowano tu lampy gazowe. Pierwsza latarnia elektryczna zapłonęła na Rynku Nowomiejskim w 1908 roku.

Nowy Rynek skupił ważniejsze instytucje publiczne w mieście, stał się centrum administracyjnym Łodzi i ośrodkiem życia publicznego. Wprawdzie odbywały się na Rynku Nowomiejskim targi tygodniowe, na które zjeżdżało sporo furmanek, wyladowanych wiejskimi produktami, ale nie były one tak ruchliwe jak na Starym Mieście. W soboty na placu przed ratuszem odbywały się publiczne licytacje.

W 1898 roku uruchomiono w Łodzi tramwaje elektryczne. Kilka linii przebiegało przez Nowy Rynek. W dni targowe dochodziło tu do częstych kolizji furmanek z tramwajami, więc dla zapobieżenia wypadkom władze miejskie zdecydowały zamknięcie targowiska.

Po powstaniu styczniowym, kiedy został zniesiony zakaz osiedlania Żydów poza wyznaczonym dla nich rewirem, ludność żydowska załaza Nowy Rynek i sąsiednie ulice. Kupcy żydowscy nabywali domy i pomieszczenia na parterze przerabiali na sklepy. Kiedy ich już nie starczało, dalsze urządzano na piętrach i w oficynach. Mury kamieniczek Nowego Rynku gęsto pokryły blaszane szyldy i wywieszki, które w językach: polskim, niemieckim i rosyjskim, a także pismem obrazkowym (dla analfabetów) oznajmiały, co owe liczne magazyny, sklepy i sklepiki mają do zaoferowania swoim klientom. Przeważnie sprzedawano w nich manufakturę i gotową odzież oraz różną galanterię, ale były także sklepy z obuwiem, żywnością itp.

Po pierwszej wojnie światowej Nowy Rynek uchwałą Rady Miejskiej przemianowano na **plac Wolności**. Mocnym akcentem, uzasadniającym nową nazwę, było ustawienie w środku placu pomnika Tadeusza Kościuszki. Uroczystość odsłonięcia pomnika odbyła się 14 grudnia 1930 roku przy licznych udziałach mieszkańców.

Zanim stał się placem Wolności

Wacław Pawlak



posesjach nr nr 8 i 5 zbudowali podobne domy.

Owczesny burmistrz Łodzi, Karol Tangemann, z niepokojem spozierał z okien ratusza na rozległy pusty rynek. Central-

W 1838 roku stanęły jatki na Nowym Rynku. Zajęły one dwa narożne place u wylotu ulicy Średniej (obecnie Nowotki) i przeznaczone były dla rzeźników. Jatki były zbudowane z drzewa, lecz posiadały



„BLAZKA ZE SZPILKA”

W 35 numerze Waszego Pisma ukazała się notatka pt. „Blazka ze szpilka” pióra Cwieka, do której czytelnicy w obowiązkowym ustosunkowaniu. Dziwnym jest, że prawdziwe dane cytowane na podstawie tak niepełnych informacji, jakie posiada autor notatki i że jego dyskusyjne racje są aprobowane przez Redakcję, no bo tego wszakże dowodzi druk materiału.

Owiek udowadnia, jak śmiesznie mała sprawa jest poziomem znacząca okolicznościowa, a dla poparcia swych poglądów porównuje go z... życiem ludzkim. Nie będziemy dyskutować na tej płaszczyźnie, bo w tym wypadku wyjątkowo zgadzamy się z autorem notatki – natomiast nie wydaje nam się, aby rozmiar problemu estetycznych wyznacznika centymetrowa średnica znacząca.

Fakt, że projektował go plastyk nieznany nie dowodzi. Nie jest tajemnicą, że w plastyce, jak i w innych dziedzinach sztuki czy nauki nastąpiła waskła specjalizacja i że znakomity malarz może nie znaleźć właściwej formy dla obrabiarci, a projektantowi odzieży nie uda się wnetrzeć kawiarni. W związku z powyższym większość artystów, mających doświadczenie

oraz poczucie odpowiedzialności zawodowej, nie podejmuje się prac w zakresie dla siebie obcym. Są jednakże, niestety, wypadki, że ten i ów z artystów bierze się do zadań przestających jego umiejętności, bądź też zmuszany jest do ich podjęcia przez dyrekcję zakładu, w których jest zatrudniony na etacie projektanta tkanin lub odzieży, do czego ma właściwe przygotowanie. Nie też zatem dziwnego, że wynik jest niezadowolający i projekt nie może być zatwierdzony.

Nie dochodzi do takich kłopotów jeżeli zleceniodawca zwraca się do specjalistycznych przedsiębiorstw typu Pracownia Sztuk Plastycznych czy Zakładów Artystycznych Związku Polskich Artystów Plastyków, kierując one bowiem zlecenie do odpowiedniego fachowca, a wykonany projekt może nie być genialny, ale musi być przynajmniej poprawny, co stwierdza odpowiednia komisja. W tym wypadku zleceniodawca nie ponosi żadnego ryzyka i rzecz cała jest ulatwowiona, bowiem Wydział Kultury honoruje ocenę obu tych komisji i rozpatruje jedynie te projekty, które są zlecane prywatnie, lub wykonane przez kogoś z załogi, niekiedy nawet przez dyrektora osobiste. Wyniki takiego dochodzenia do projektu są oplakane. Projekt znacząca zdradza najczęściej całkowitą niezrozumieć kompozycji, jest przegadany nadmierną ilością tekstu lub symboli, jest dyktanek i pretensjonalny. Gdybyśmy wydawali zgodę na realizację tych projektów i w efekcie znalazłyby się w kłopotach marynarek – wtedy dopiero Cwiek miałby temat i powód do podnoszenia larum. Jak to możliwe, że nikt nad tym nie panuje, ktoś powinien ponieść odpowiedzialność! – I miałby rację.

Przy Wydziale Kultury pracuje zatem Komisja Artystyczna do Spraw Plastyki, powołana na skutek zarządzeń centralnych, obowiązujących w całej Polsce. Ma ona określone zadania, z których musimy się wywiązywać. Jednym z takich zadań jest ocena i wyreca projektów zlecanych prywatnie, za które nikt, poza autorem, nie

bierze odpowiedzialności, a autor może się mylić, lub nie posiadać odpowiednich kwalifikacji. W skład Komisji wchodzi wybitni specjaliści, zakwalifikowani jako rzeczoznawcy w swojej branży przez Ministra Kultury i Sztuki, na wniosek Związku Polskich Artystów Plastyków. Tak więc nie przypadkowe „widzimisie” jednego lub kilku panów decyduje o ocenie – lecz znajomość rzeczy i interes zleceniodawcy, który nie zawsze zdaje sobie sprawę, że przecież stalej w jego obronie, aby praca wykonana dla niego stała na odpowiednim poziomie.

Jest w tym także i interes społeczny nas wszystkich, którzy wolimy oglądać rzeczy ładne. I w tym właśnie miejscu winny się spotkać Wasze i nasze działania w zakresie wychowawania estetycznego, bo w końcu przecież o to właśnie chodzi. Winno nam zależeć, aby ludzie nauczyli się odróżniać piękno od brzydoty, choćby na przykładzie takiej blazki na szpilce, jak to nazywacie znaczek okolicznościowy.

A tak już zupełnie na marginesie – znaczek to nie taka znowu zupełna blazka. Jest on przecież formą wyróżnienia kogoś lub upamiętnienia czegoś i w odczuciu społecznym ma on znacznie większą wagę od tej, którą nadaje mu autor notatki. Z uwagi na fakt, że wspomniana notatka wprowadza, naszym zdaniem w błąd opinię publiczną i jest krzywdząca dla Wydziału Kultury – uprzejmie prosimy o zamieszczenie w całości naszego wyjaśnienia na łamach Waszego Pisma.

WŁADYSŁAW JAGODA
Zastępca Kierownika Wydziału Kultury
Prezydium RN m. Łodzi
Artysta plastyk nr leg. ZPAP 6357

Od redakcji:

Z radością spełniamy prośbę o opublikowanie listu a przy okazji chcielibyśmy wyjaśnić, że „wspomniana notatka” jest felietonem, które Cwiek publikuje w „Odgłosach” od kilku lat.

„PERLA BEZ BLASKU”

W nawiązaniu do artykułu pod tym samym tytułem („Odgłosy” nr 33), red. K. Frejdli-cha, który pisze o ul. Piotrkowskiej, twierdząc, że jest to perla bez blasku. Oczywiście nie ma co do tego żadnych wątpliwości, szczególnie po ostatnim malowaniu. Piotrkowska ujawniła całą swą urodę i mam prośbę do władz miejskich, żeby częściej to czyniono.

Ala ja właściwie chciałem o autobusach, które ta Piotrkowska kursują. Otóż zawsze były one brudne, lecz dopiero na tle odnowionej ulicy dobrze to teraz widać. Jeśli stać nas na farbie do pomalowania domów, to może być jeszcze znalazło się parę złoiych na wodę i szczotkę do umycia autobusów. Jeśli chodzi o mnie, to jeszcze nigdy nie jechałem Piotrkowską autobusem, który by miał czyste szyby. A zapewniam, że jeżdżąc tą ulicą bardzo często.

Jako stały pasażer MPK chętnie pogodziłem się z likwidacją konduktorów w autobusach, ale zapytuję jednocześnie, dlaczego likwidowano etaty sprzątarek? Przykro to widok, jak naszą wspaniałą Pietryną jeżdżą tabuny brudnych autobusów. Już i bez tego jazda publicznymi środkami lokomocji po Łodzi jest i tak diablo uciążliwa. Niech więc nie będzie choć niechlujna. Łatwiej przecież pozamiatać autobus, niż zbudować metro.

ŁODZIANIN K. J.

OCHRONA ŚRODOWISKA

Jako lekarza sprawa ochrony środowiska interesuje mnie bardzo. Jestem również zdania, że trzeba zrobić wszystko, co w naszej mocy, by ratować te niedzne resztki naturalnego środowiska, gdzieś gdzieś w głębiach wód kamiennych pustyni miasta. Niestety ojcowie miasta nie spisał się w tej dziedzinie i można mieć do nich pretensje uzasadnione. Niech więc nieudolność odpowiedzialnych za to dziedzinę zostanie uzupełniona staraniami społec-

zeństwa. Walczmy o profilaktykę, a nie rozpaczajmy nad szkodami. Dość głupoty i beznadziejności, graniczącej z przestępstwem (co na to Prokuratura?)

W artykule Jerzego Urban-kiwicza interesujące są cyfry odzwierciedlające produkcję tleniu przez liście. Proponuję współpracę w każdej akcji, służącej zazielenianiu naszego miasta. Może akcja społeczna w rodzaju: „SZUKAMY REZERW TIENOWYCH”, „TIEN DLA PLUC”, „WIĘCEJ CHLOROFLU” etc. Należy chyba pomyśleć o lepszym zazielenieniu miasta. Nie tylko drzewa! Tak dużo mamy smutnych, odrapanych ścian i murów, kulawych plotów, aż proszących się o pokrycie ich kaletwa. Na milionach metrów kwadratowych można by rozwiesić dywany pnących roślin. Dla przykładu – szybko rosnące dzikie wino, czy chmiel, zupełnie nie wymagające, w razie potrzeby łatwe do usunięcia. A wiele masy zielonej! Obawy o wilgoć są nieuzasadnione, bo w rzeczywistości właśnie rośliny te chronią mury przed deszczem, a wilgoć z murów nawet wyściągają. Może by tak „TOWARZYSTWO DZIKIEJ WINOROSLI”? Może by tak dzięki propagandzie w Waszym piśmie udłoby się stworzyć „lobby” chlorofilowe?

Łączę wyrazy szacunku
DR BOHDAN BIENIAK

„KONCERT DLA GŁUCHYCH”

W „Odgłosach” 3 września br. ukazały się dwa artykuły traktujące o PKP: Bogdy Madaj „Koncert dla głuchych” i Marka Wawrzkiwicza „Szانونy Panie Ministrze”. Z dużym zainteresowaniem przeczytałem oba te artykuły i byłem prawie pewny, że PKP, a już Szانونy Pan Minister Komunikacji, odpowiedzą, jeśli nie autorom, to przynajmniej redaktor. Z uwagą przez cały też czas śledzę rubrykę „Listy do redakcji” i... nie. PKP zapomniało, że są już jeśli nie przepis KPA, to w każdym

razie dobre obyczaje. Tym bardziej, że zarówno Bogda Madaj, i Marek Wawrzkiwicz mieli rację krytykując metody pracy niektórych ludzi, pracujących w PKP, a także politykę PKP w stosunku do Łodzi.

Łódź jest drugim wielkim miastem w Polsce, jest tu centrum przemysłu lekkiego i centrum handlu zagranicą dla tego przemysłu. Wystarczy pojechać tylko którymś z warszawskich pociągów, aby przekonać się, ilu cudzoziemców i ilu „krajowców” podróżuje tylko na tej jednej trasie. A inne?

Myślę jednak, że na PKP obudzą się, przypomnia sobie przepisy o odpowiedzialności na krytykę i będą mogli dowiedzieć się, jakie stanowisko w sprawach omawianych na łamach „Odgłosów” zajęły władze PKV.

Z poważaniem
EDWARD TUPACKI

OD REDAKCJI: W pełni podzielamy zdanie Czytelnika.

POŻEGNANIE Z „ODGŁOSAMI”

Co skłoniło Was do zmiany sympatycznego tygodnika w obrzydliwy zbiór nekrologów. Szata graficzna obecnie, to jeden wielki wykrzyknik: „memento mori”. Brrr! Przestaję Was kupować i czytać, żeby nie robić sobie przykrości za własne pieniądze. Poza tym brak mi do czytania w tramwaju nowelki kryminalnej na ostatniej stronie. Żegnajcie,

ZOFIA DWORNIK

OD REDAKCJI:

O gustach nie należy dyskutować, a poza tym ostatni numer „Odgłosów” są już mniej „nekrologowe”. Jednym to się podoba, innym – nie. Ale dyskutować jest już o czym. Zamiast nowelki kryminalnej chcemy dawać dobre, ciekawe i wartościowe teksty o sprawach, które powinny interesować każdego. Mamy nadzieję, że dzięki temu zyskamy wielu nowych Czytelników.

Kto podkłada siekiere pod busole?

Dalszy ciąg ze str. 1

zdania, niech pofatyguje się na przykład do Muzeum Narodowego w Warszawie i obejrzy sobie owe „wycieczki” zmordowanych, otepiałych dzieciaków z prowincji, grzaniach po salach przez zrutynizowanych, obojętnych przewodników, klepiących swe koszmarnie pacierze na temat obrazów i malarzy. Każdy obraz śni się tym nieszczęsnym dzieciom wielką szklanką wody sodowej. Miałem w szkole nauczycielkę, który — prowadząc lekcje według programu — zohydził mi na długie lata Słowackiego. Młodzieży pędzonej po Wawelu i innych salach muzealnych zohydza się skarby naszej kultury, czasami raz na zawsze. Upychanie w programie szkolnym lekcji rysunku, prowadzonych przez „pana od geografii”, uważam za działalność równie szkodliwą. Zatrzymywanie się w pogadankach z wychowania estetycznego na Matejce i Wyspiańskim jest tym samym, czym byłoby wyrzucenie z programu języka polskiego Broniewskiego na przykład, albo Andrzejewskiego, Putramenta czy Różewicza. Dlatego znajomość Andrzejewskiego czy Różewicza może poszerzyć horyzonty umysłowe i okazać się w życiu przydatna, a znajomość Potworowskiego, Kulisiewicza lub Kantora przyda się nie psu na buty, pozostaje dla mnie tajemnicą. Jeśli w szkołach mówi się już o filmach Wajdy, dlaczego nie mówi się jeszcze o obrazach Andrzeja Wróblewskiego. Może dlatego, że humaniści układający program nauczania, sami zatrzymali się na Matejce i Kossaku?

Piszę o sprawach ogólnie znanych, ale ponieważ są to sprawy istotne zarówno dla twórców, jak i dla społeczeństwa, które chcemy przecież widzieć światłym i kulturalnym, więc pisać o nich trzeba. Powstają nowe i wciąż nowe dzieła sztuki i będą powstawać nadal i wszystkie one czekają na swego odbiorcę. Z drugiej strony należy się zastanowić nad tymi formami sztuki, które najłatwiej trafiają do tego odbiorcy i najchętniej będą przez niego przyjmowane. Wiąże się to z problemem mecenatu i z całokształtem form upowszechniania twórczości plastycznej. Jest to poniekąd krąg zamknięty, ale nie jest to zamknięty krąg bez wyjścia.

Te formy upowszechniania sztuki, którymi operujemy obecnie, są spadkiem XIX-wiecznych schematów, trwających niemal bez zmian mimo, że półmetek XX wieku został przekroczony z górą dziesięć lat temu. W pracowniach i na fundowanych plenerach powstają obrazy, rzeźby, grafiki, a jedynym sposobem ich prezentacji są wystawy zbiorowe lub indywidualne, pokonkursowe lub poplenerowe, ogólnopolskie lub okręgowe. Owe wystawy układają się w sezony artystyczne, a sezony artystyczne emanują z siebie bakcyle nudy i sztampy. Przypadkowość imprez artystycznych sprawia, iż kontrfekt naszej współczesnej plastyki zdeformowany jest i nie prawdziwy, niczym odbity w krzywym zwierciadle. Sezony teatralne i muzyczne na przykład są programowane z dbałością zarówno o repertuar aktualny jak i klasyczny, z uwzględnieniem widza wyrobionego, jak też mniej przygotowanego, wchodzącego dopiero w świat przeżyć estetycznych, a poszczególne imprezy mają stałe oparcie w środkach masowego przekazu, w prasie, w radiu, w telewizji. Mają ponadto rozbudowany i ulepszony ciągły

system rozpowszechniania biletów i abonamentów oraz imprez specjalnie przygotowanych pod kątem młodzieży szkolnej. Podobnie sprawa przedstawia się z filmem, Sieć klubów studyjnych, stosunkowo krótki czas „przebijania się” tytułów od ekranów premierowych do kin prowincjonalnych, powtórzenia starych filmów w telewizji, prasa filmowa — to wszystko wpływa dodatnio na wykształcenie kultury kinowego widza.

Natomiast przy organizowaniu imprez plastycznych panuje cudowne bezbołowie i uroczy brak odpowiedzialności. Tu rządzi przypadek, okolicznościowa konieczność, jakiś jubileusz, jakaś rocznica. Wystawa za wystawą, wiesz się i zdejmujesz obrazy, i znów wiesz się i tak dalej. Obrazy obok obrazów, przypadkowe sąsiedztwa, nie mówiące zbiorów, konkursy okolicznościowe, jadące na „temacie”. Z okazji wystaw wydaje się katalogi, z reguły tak opracowywane, aby nie stanowiły żadnej dokumentacji dla przyszłych badaczy i historyków — o, miłe pamiątki dla przyjaciół i rodziny. Jeżeli od tego wszystkiego dodamy permanentną nieobecność w salach wystawowych prac czołowych artystów — bo są one albo „za granicą”, albo w muzealnych i innych magazynach, albo po prostu w pracowniach, bo owi artyści cenią się na tyle, by zrezygnować z przypadkowego sąsiedztwa na wystawie — to smutny otrzymamy obraz naszego ruchu wystawienniczego. A kłopoty z upowszechnianiem nie na tym się przecież kończą.

Wychodzą u nas dwa pisma poświęcone plastyce: „Projekt” i „Przegląd Artystyczny”, oba elitarne, dla fachowców i profesjonalistów właściwie, z tego jednego („Projekt”) bardzo dobre i drugie („Przegląd Artystyczny”) — bardzo złe. Ogólny poziom informacji prasowej i telewizyjnej z zakresu plastyki jest przykładem jakiejś upartej abnegacji, przykładem niewiedzy i skrajnej ignorancji. W anegdotce Zygmunta Starego twierdzi, że najlepiej w Polsce jest leka-

one pełnego kompletu, uważam za wskazane wglądnięcie w program nowego Zarządu Łódzkiego Okręgu PZAP. Jakże środki zaradcze zamierza on podjąć? Jakże plany i propozycje zamierza realizować? I trzeba od razu powiedzieć jasno i otwarcie, iż nowy program nowego Zarządu, aczkolwiek nie odkrywa Ameryki, zasługuje z wielu względów na baczną uwagę. Na uwagę tym bardziej, iż mamy już za sobą jedną imprezę, której poziom i powodzenie pozwalają rokować przyszłe sukcesy. Mam na myśli I Triennale Tkaniny Przemysłowej i Unikatowej, które było, bez wątpienia, wydarzeniem kulturalnym w skali krajowej. Czy zostało ono w aspektach społecznych wykorzystane, jak należy — to inna sprawa.

Nowy program, w ogólnych swoich zarysach, zmierzając będzie w stronę wszechstronnej i pełniejszej prezentacji dorobku twórczego środowiska łódzkiego na tle ogólnopolskich (na razie) dokonanych twórczych w różnych dziedzinach sztuki. Służę tym wysiłkom mając przy wielkiej ramowej impre-

— Ogólnopolskie Triennale Malarstwa i Grafiki z Pierwszym Triennale pod hasłem: „Nadrealizm i metafizyka” w roku 1973

— Ogólnopolskie Triennale Rzeźbiarstwa — Architektoniczne z Pierwszym Triennale w 1974 roku

— Międzynarodowe już, tym razem, Triennale Tkaniny Przemysłowej i Unikatowej w roku 1975.

A więc program-maksimum, którego powodzenie bez wątpienia podniesie rangę miasta i środowiska łódzkiego na mapie kulturalnej kraju. Słusznie, że narodził się w Łodzi, bo środowisko łódzkie stać na jego realizację — szkoda tylko, że tak późno.

Automatycznie jednak nasuwa się pytanie: gdzie będą się działy owe imprezy? Łódź przecież nie dysponuje odpowiednimi lokalami wystawienniczymi. Triennale gościnnie odbyło się w gmachu Textilimpexu, ale — o ile znam życie, to nie przypuszczam, aby Textilimpex był tak dalece hoj-

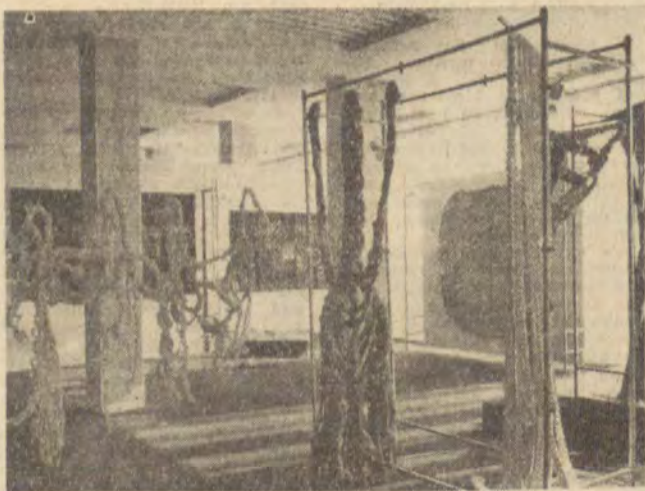
cy mieszkańcom. I tą drobną różnicę powinny odnieść władze wreszcie zrozumieć.

Trzy wyżej wymienione wystawy stanowią ramy ogólne. Natomiast poszczególne sezony artystyczne mają być opracowywane szczegółowo, pod kątem tematycznym i artystycznym i układać się będą w 6-miesięczne, zamknięte cykle wystawowe. W ich skład będą wchodziły ekspozycje różnych rodzajów sztuki, połączone wspólnym mianownikiem tematu lub problemu artystycznego, a efektem końcowym mają stać się publikacje krytyczne, wydawane w formie książkowej, stanowiące nie tylko dokument krytyczno-teoretyczny, ale i materiał dydaktyczny, który — przy dobrych chęciach odpowiednich władz — będzie mógł być wykorzystany w szerokim szkolnictwie. Wobec pomyślenia o młodzieży i ta inicjatywa wydaje mi się szczególnie cenna.

Łódź jest miastem ubogim w pomniki, a ogromna część istniejących — nie najwyższej jest próby. Rzeźb wolno stojących nie ma niemal wcale. Grupa łódzkich rzeźbiarzy, z Michałem Galkiewiczem na czele, wystąpiła z propozycją zorganizowania w pasażu ZMP galerii rzeźby na wolnym powietrzu, której eksponaty wymieniane byłyby co dwa lata. Wyobraźmy to sobie, — skracamy z załoczonej Piotrkowskiej i znajdujemy się w czarowym świecie form, wykutych z kamienia, wyciosanych w drzewie, pod sam nos podtykają nam sztukę, mamy ją na ulicy. Ta oaza w centrum miasta zasługuje chyba na szybką realizację, tym bardziej, że rzeźbiarze nie mają zbyt wiele okazji do eksponowania swoich prac.

Wiele mówi się ostatnio o integracji środowisk twórczych. Nie mam zaufania do tego określenia, zastąpiłbym go raczej słowem — zbliżenie, bo faktem jest, że literaci sobie, muzycy sobie, aktorzy sobie i każdy sobie rzepkę skrobie. Propozycję ujętą w programie łódzkiego Związku zmierzają właśnie do zbliżenia twórców różnych dziedzin sztuki. Idzie o to, aby z okazji otwarcia i trwania jednej z drugiej wystawy, zaprezentować twórczość poetycką, muzyczną, filmową, zbliżoną do tematu ekspozycji. Łączyłby pokaz plastyki z muzyką, poezją, aby różne sztuki uzupełniały się, współgrały ze sobą, wytworzyły wspólny klimat. Takie spektakle mogą kryć w sobie magnes przyciągający ludzi.

Jakie są szanse realizacji tego z grubsza nakreślonego programu? Nie będę prorokiem, posłużę się przykładem. Kiedy zrodził się pomysł zorganizowania I Triennale Tkaniny wielu mówiło, że impreza upadnie z braku funduszy, z braku sali wystawowej, z braku ludzi, którzy by poświęcili swój czas, wreszcie z racji złej sławy Łodzi w innych środowiskach artystycznych. Tymczasem znalazły się fundusze i to bardzo poważne. Znalazła się sala. Znalazli się ludzie. I wreszcie nie zaszkodziła zła sława Łodzi. Triennale się odbyło! Miasto czeka na następne. Ale ludzie, którzy podjęli się tych niełatwych zadań, nie mogą być pozostawieni sami sobie. Im trzeba pomóc w interesie miasta i jego kultury, czyli w interesie nas wszystkich. A sceptycy i oponenci niech spróbują sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy te trzy Triennale przerodzą się w spotkania międzynarodowe.



I Triennale Tkaniny Przemysłowej i Unikatowej — Łódź, 1972. Projekt ekspozycji — Jerzy Frątczak

rzy. Parafrazuując, przypuszczając należy, że wśród piszących, najwięcej jest ludzi znających się właśnie na plastyce. Wymieniony system nie nie znaczący słów i zdań, jakim operuje się powszechnie w recenzjach plastycznych, jest po prostu gorszy od dziennikarskiego slangu sportowego. Niestety, wszystkie te usterki odbijają się na kulturze plastycznej społeczeństwa, a sam potencjał twórczy nie zostaje spożytkowany tak, jak spożytkowany być powinien.

...

Dla wyżej to wymienionych powodów, a wciąż podkreślam, że nie stanowią

ny i przewidujący, aby służyć swoją pomocą nadal. Kto więc przysparza bezdomnych? Budowa Galerii w Łodzi tkwi nadal w sferze projektów. Wydawać by się mogło, że cała ta historia z łódzką Galerią, to sprawa kosztownego prezentu dla sześciuset kilkunastu artystów, którzy mają już wszystko, chcą mieć jeszcze nowoczesne salony z pełnym komfortem. Nie! Nie! To nie sprawa kosztownego prezentu — to sprawa wartości pracy, a także konieczna inwestycja dla miasta, dla jego kultury, dla ponad 700 tysięcy



„Rozmyślenia na sali sądowej“

Nazwisko autora tej książki dobrze znane jest czytelnikom „Trybuny Ludu”. Od wielu lat zamieszcza na jej łamach swoje felietony sądowe Zbigniew Łakomski. Publicystyka tego rodzaju, z pozoru „samograjowa”, nakłada na piszącego poważne obowiązki. Ukazując najcięższe dramaty życia ludzkiego, ukazując najstraszniejsze konflikty społeczne i obywatelskie, jakich widownia staje się sądem, publicysta czuje zwiększony ciężar odpowiedzialności za słowo. Jak sprawić, aby opis zdarzenia, nie stanowił zachęty dla nieswiadomych jeszcze swoich inklinacji przestępczych potencjałów klientów sądu? Jak przedstawić wypadek, aby doprowadził do świadomości społecznej humanitarny i celowościowy charakter kary, gdy wyrok klęci się z potocznym rozumieniem sprawiedliwości?

Łakomski nie uchyla się od poruszania najdrażliwszych spraw pamiętając ciągle, że felieton sądowy, wyraźniej niż inne dziedziny twórczości dziennikarskiej, musi oddziaływać wychowawczo, że nie można tu sobie ani na chwilę pozwolić na rozluźnienie uwagi. Ukazuje najcięższe dramaty życia ludzkiego, w których znać często ślady lektur najpoważniejszych autorów naukowych w dziedzinie patologii społecznej. Zresztą nie można ich oddzielić od przemysłu osobistych, bo kazuistyka tej książki wskazuje, że Łakomski dostrzega niebezpieczne zjawiska społeczne najświeższej daty, które nie znalazły jeszcze swojej prezentacji w literaturze fachowej o charakterze socjologicznym czy prawnym. Taka zresztą jest rola publicystyki, która powinna stanowić daleko wysuniętą w życie ciekawą, wychowującą najcięższymi problemami wymagającą potężnych i systematycznych badań.

K. F.

Zbigniew Łakomski: „Rozmyślenia na sali sądowej”, KiW, 1971 r.

Odlamki wspomnień

Krakowski wydawca i bibliofil, Wiktor Frantz, rozpoczął swoje wspomnienia słowami: „Pamięć jest, jak dziurawe rze. szota”. Z pewnością to prawda, ale książka temu przeczy. „Odlamki wspomnień” są bowiem nieocenionym źródłem wiedzy o, marginalnych nieraz, sprawach książki, literatury i dziennikarstwa. Literaci Krakowa i Łwów sprzed I i II wojny światowej, głoszący potęgę literackiej, mało znane epizody i fakty — słowem lektura pasjonująca dla miłośnika książki.

Jak wykladał profesor Kucharski, kto napisał słowa piosenki „Płonie ognisko”, jakie tajemnicze kryje w sobie tekst „Pana Tadeusza”, czy jest możliwe odwołanie do parli-sachów ze znanego poematu Jana Kochanowskiego? Powie ktoś, że to marginesy literackich docieków, ot, takie pigliwskie „Mile sercu drobiarzi”. Może, ale dzięki nim wspomnienia Wiktor Frantz czyta się prawie, jak sensacyjną powieść — tym ciekawsza, że nie zmyślona.

Jest zresztą w tej książce wiele egzotyki. Autorem w młodości fascynowała Mongolia — nawet pracę dyplomową pisał na temat szamańskich bóstw Mongołów. I jest w tej książce uśmiechający nieubłagane czas. Oto Frantz był uczniem prof. Kotwicz, podobnie, jak prof. Lewicki. Uczniem Lewickiego jest z kolei Stanisław Kałużyński, który polską literaturę przyswoił, jakże dziś głośna książka „Tajna historia Mongołów”.

Co chwilę spotykamy na kartach tych wspomnień nazwiska znaczące w nauce i literaturze polskiej. Wiktor Frantz małpisał o sobie — więcej o ludziach, z którymi się stykał: o Tadeuszu Hollendrze, o Karolu Kurylu, o profesorach — Kotwicz, Lewickim, Smogorzewskich, Stasiuku... O czasie, który minął i który tak pięknie się łączy z dniem dzisiejszym.

J. W.

„Odlamki wspomnień Wiktor Frantz”, Wyd. Literackie, 1972, cena 25 zł.

Wspomnienia o Duraczu

Nazwisko głośnego prawnika, Teodora Duracza, rozstrzelanego bestialsko przez hitlerowców w 1943 r., znane jest zapewne naszym Czytelnikom, ale też do tego ogranicza się zapewne ich cała wiedza o człowieku, który był w okresie międzywojennym, najpopularniejszą obrońcą w procesach politycznych. Toteż dobrze się stało, że Romana Duracza spiacając dług pamięci wobec swego wielkiego męstwa, ukazała go w tomie wspomnień wydanym nakładem „Czytelnika”.

Autorka nie miała ambicji napisania książki biograficznej, ton jej relacji jest bardzo osobisty, niemal intymny. Pani Romana rzadko wykracza poza to, co zna z autopsji. A przecież wiedziała wiele, najpierw jako sekretarka Duracza, a później jego żona, którą wtajemniczał we wszystkie swoje sprawy. Toteż mimo osobistego charakteru tych wspomnień, nie brak w nich zakulisowych nawet informacji o procesach politycznych, na których Teodor Duracz, stał w charakterze obrońcy. Nie brak w nich także rzetelnej wiedzy o środowisku, w którym żył Duraczowie i wprost szkoda, że wydawca nie zaopatrzył książki w indeks nazwisk, postaci występujących w tych wspomnieniach.

Choć całą swoją uwagę autorka na osobowość i działalność Teodora Duracza, nie rezygnuje z ukazania społecznego tła, a także mechanizmów rządzących stosunkami w II Rzeczypospolitej, tym pełniej szkicując sylwetkę swego bohatera. Pod jej piórem Duracz jest człowiekiem w pełni żywym i wcale nie koturnowym.

K. F.

Romana Duraczowa: „Teodor Duracz, jakim go widzę”, Czytelnik 1972, str. 301, cena 21 zł.

Andrzej Grun

Zofia Tarnowska

SPRAWA INAUGURACYJNA

W pewnej, bardzo ważnej instytucji pracował młody człowiek, pełniąc dość odpowiedzialną funkcję. Pracując pilnie, awansował prawidłowo, studiując jednocześnie zao-
cznie na adekwatnym do wykonywanej pracy wydziale uniwersytetu. Alłści, kiedy młody człowiek kończył jedena-
sty rok pracy i bliski był uzyskania tytułu naukowego, poświęcając pracy magisterskiej wszystkie siły i małe dawki wolnego czasu, wydano dyspozycję, żeby on i inni z nim pracujący podjęli nowe, ponadobowiązkowe czynno-
ści na rzecz dobra ogólnego. Była to jeszcze jedna porcja owych czynności, traktowanych jako praca społeczna, ale zarządzona w trybie... służbowym. Nikt z pracowników owego działu nie unikał pracy społecznej, a przeciwnie — garnięto się do niej chętnie, bo jej efekty były bardzo ważne, ale nadmiar tej pracy kolidował w wielu wypadkach z obowiązkami rodzinnymi i nauką, która ma usta-
wowo zagwarantowane ulgi, o czym wie każdy szef każ-
dej instytucji, zobowiązany do respektowania ulg. Forma zaś „służbowego” trybu świadczyła o przekroczeniu kom-
petencji.

Młody człowiek miał poważnie chorującą żonę, małe dziecko pod opieką i pracę magisterską na głowie (poza tym był aktywistą społecznym, co mu pokwitowano w opi-
nii). Więcej roboty nie mógł doraźnie udźwignąć. Był zwy-
kłym pracownikiem, ale człowiekiem myślącym prawidło-
wo, praworządnie i logicznie i może dlatego nie przyjmo-
wał bezkrytycznie wszystkiego, co płynęło formalnie z urzędu bez dopuszczenia możliwości dyskusowania, pro-
szenia o zmiany itp. Naraził się więc młody człowiek nad-
zorcy, który nie uznał jego prawa do zadawania pytań, a w ogóle za bezczelność i niesubordynację policzył mu wystąpienie z prośbą o zastosowanie doraźnych ulg, uza-
sadnionych bardzo złożoną sytuacją. Jak bowiem powsze-
chnie wiadomo, nie prostą jest sztuką parać się studiami wyższymi bez uszczerbku dla obowiązków służbowych, wykraczających dodatkowo poza normę (ale w interesie instytucji jest posiadanie wykształconej kadry). Oburzony nadzorca postanowił dać mu nauczkę i nie pozwolił ko-
rzystać ze sprzętu biurowego do napisania pracy magi-
sterskiej. Młody człowiek odwołał się do starszego nad-
zorcy, a następnie do samego Prezesa, czyniąc zadość for-
mom służbowym. Prezes jednak nie przyjął „raportu”, bo drogę służbową zamknął mu starszy nadzorca. Udał się więc drogą „pozasłużbową”. Prezes obruszył się w ma-
jeście swoich czterech telefonów, dziwiąc się, że w tak blahej sprawie burzy się porządek bardzo odpowiedzialne-
go urzędowania. Nie przyjął do wiadomości całej sprawy,

która raptem sprowadzała się do pozwolenia połączenia dodatkowych godzin w jeden dzień społecznej pracy, bo-
wiem nie mógł darować młodemu człowiekowi przekro-
czenia dystansu dzielącego go od zwierzchnika. Trzeba przy tym zauważyć, że do prezesa nie dotarły widać je-
szcze wieści o zmianach w stosunkach pracownik — prze-
łożony, władza — obywatel, o zniesieniu sztucznych ko-
turnów i cokołów, na których zainstalowali się co bar-
dziej nadęci urzędnicy. Została tu też stara i jedyna dra-
bina hierarchiczna, której nikt jeszcze nie wymienił na nową i po tej drabinie usiłował dalej wspiąć się nasz bohater, bowiem przezornie zachowano całą procedurę formalnych przywilejów „odwoływania się” wyżej ze swoimi



Andrzej Smoczyński — linoryt

racjami. Nie wiadomo jednak, na którym szczeblu załamał się ten przywilej, bowiem posyłane drogą służbową „ra-
porty” pozostawały bez odzewu. Jedynie starszy nadzorca otrzymał sprawę do załatwienia, a załatwił ją w ten spo-
sób, że uznał śmiałość pracownika w dochodzeniu swych racji za łamanie dyscypliny służbowej. I, żeby już przy tej dyscyplinie pozostać, dyscyplinarnie zwolniono pracow-
nika bez rozpatrzenia meritum sprawy, natomiast udowo-
dniono mu, że... przez dwa lata nie robił. Przekreśło-
no cały jego dorobek, znieszczałając fakty i dopasowu-
jąc go do swej koncepcji kary. Takli wyrok orzeczono w imię — niech mi wolno będzie użyć określenia prawnicze-
go — prewencji ogólnej! Żeby żaden inny pracownik nie wpadł na pomysł ośmielenia się i występowania w obro-
nie swych konstytucyjnie zagwarantowanych praw.

A jednak znalazł się następny śmialek. Zastosowano wobec niego co prawda łagodniejsze sankcje, ale uznano go za przydatnego jedynie do pełnienia niższego stanowi-
ska (zamykającego w zasadzie drogę do należnego mu regulaminowo awansu) na warunkach ślepego posłuszeń-
stwa.

Zwolniony zaś dyscyplinarnie bohater naszej historii po-
pełniał nowe błędy. Usiłował się wyrwać, jak ów miś, poza odrutowany krąg. Odwoływał się. Próbował u pre-
sa wyjednać dostęp do Najwyższego Szefa. Prezes zgody nie wyraził. Próbował tedy drogą pozasłużbową, ale se-
kretarka Najwyższego zakomunikowała mu, że Najwyższy nie może przyjąć pracownika, który nie jest już pracow-
nikiem resortu.

W ten to sposób udowodniono naszemu bohaterowi, że jest śmiesznym, głupim i bezczelnym człowiekiem, który chciał się oprzeć sile administracji. Udowodniono niepod-
ważalną moc administracji.

...W zakresie kontroli praworządności jej podstawowym zadaniem powinno być nie tylko usunięcie zaistniałej nie-
prawidłowości, ale eliminowanie nawet samego poczucia niesprawiedliwości lub jeszcze bardziej — poczucia, że ze strony organów państwowych może obywatela spotkać niesprawiedliwość. Tylko w tej atmosferze, deklarowanej zresztą w naszym ustawodawstwie (art. 5 kpa) rozwijać się mogą najbardziej pożądane zasady współżycia społecz-
nego.

...Przestrzeganie praworządności jest bowiem sprawą tak podstawową w społeczeństwie socjalistycznym, że jej pełne zabezpieczenie, zgodne z obowiązującą konstytucją, powinno stać się sprawą realizowaną przez państwo z urzędu.

Tak sprawę przedstawia prof. Jerzy Starościak w arty-
kule „Kontrola praworządności działania organów admini-
stracji”, zamieszczonym w nr 11 „Państwa i Prawa” (li-
stopad 1971 r.), miesięczniku Instytutu Nauk Prawnych PAN. Sprawa ta podniesiona została niedawno przez Pro-
kuratora Generalnego, który uważa za słusne powierzenie sądowej kontroli administracji spraw ostatecznie rozstrzy-
gniętych przez tę administrację.

Przedstawiając więc powyższą historię, uważam je me-
ritum za rzecz godną rozstrzygnięcia przez sądową kon-
trolę. Może to będzie sprawa inauguracyjna?...

Małgorzata Golicka

Nie tylko górale

Kiedy nasi górale tańczą, cała ziemia się trzęsie — powiadają Bułgarzy. I rze-
czywiście od przytupów tancerzy trzęsła się nie tyle ziemia co drewniana estrada, a wraz z nią festiwalowy namiot. Na V Międzynarodowym Festiwalu Folkloru Ziem Górskich zjechało we wrześniu do Zakopanego 11 zespołów zagranicznych i 6 polskich.

Festiwal prezentuje folklor stworzony przez różne ludy, żyjące w podobnych wa-
runkach klimatycznych, prowadzących po-
dobny tryb życia i pracy, wyznaczony przez przyrodę i zajęcia. Zakopiański fe-
stiwal przynajmniej w tym roku (każdy rok przynosi coś nowego) zawiesił na pe-
wien czas nie kończące się spory naukow-
ców i praktyków na temat autentyzmu i stylizacji folkloru. Każdy zespół wystę-
pował w jednej z trzech kategorii: zespó-
łów autentycznych, artystycznie opraco-
wanych i stylizowanych.

Można nie lubić stylizacji, można też zastanawiać się nad tym, czy autentyzm na scenie, to rzeczywiście autentyzm. Nie można jednak twierdzić, że publiczność woli wyłącznie zespoły ze stylizowanym folklorem, a ma opory przeciwko progra-
mom autentycznym. Na zakopiańskich koncertach przyjmowano entuzjastycznie zespoły, bez względu na to, do jakiej gru-
py należały.

Te trzy wymienione kategorie stanowią doskonały przykład, co można zrobić z folklorem na scenie i jakim jest on świet-

nym tworzywem teatralnym. Zespoły pre-
zentujące autentyczny folklor, na scenie wyglądały z reguły skromniej niż inne. Potwierdza się prawda, że strój ludowy piękny na wsi, czy w muzeum, nie wyglą-
da tak samo pięknie na scenie. Podobno kiedyś przy wystawianiu „Krakowiaków i górali” zażądano prawdziwych krakow-
skich spódnic. Przywieziono je aż z Mu-
zeum Etnograficznego w Krakowie, i cóż się okazało? Na scenie wyglądały szaro i nieefektownie. Dopiero odpowiedni „re-
tus” i własna stylizacja nadały im bla-
sku i koloru. Podobnie jest ze strojami zespołów, występujących w Zakopanem.

I nie tylko. Czasami tancerz zmylił krok, przekreślił figurę. Ale to nic. W ze-
spółach prezentujących autentyczny fol-
klor nikogo to nie raziło, a naturalność, prostota i świeżość były właśnie ich naj-
większymi walorami. Pokazywali oni jak tańczą i śpiewają u siebie na wsi i to czę-
sto w tym samym gronie. Regulamin kon-
kursu wyraźnie zresztą zastrzegł, że ze-
spół prezentujący autentyczny folklor mu-
si składać się wyłącznie z mieszkańców wsi. Zabawa na scenie była więc często zabawą dla nich samych.

Zdobywcą tegorocznej „Złotej Ciupagi” w kategorii zespołów z artystycznie op-
racowanym programem był gruziński zespół z okręgu gardańskiego. Gruzini poka-
zali tyle piękna w tańcach, śpiewie i mu-
zyce swego regionu, że przekonali chyba najbardziej zagorzałych przeciwników fol-

kloru. W ich programie znać było rękę choreografa i reżysera. Ale widać było, że zmiany w muzyce i tańcu nie naruszy-
ły autentycznego źródła folkloru.

Programy stylizowane prezentowały m. in.: zespół Domu Kultury Związku Spółdzielczości w Sofii, węgierski zespół z miejscowości Kisterenye. Było to dalekie od autentyzmu, tym niemniej piękne, nie pozbawione wartości i „do oglądania”.

Rumuni do tej pory wierni stylizacji odważyli się w tym roku na odstępstwo od swoich zasad i przystali na festiwal autentyczny zespół z ludowym weselem. Osobiście wolę zespoły z programami ar-
tystycznie opracowanymi. Autentyzm na dłuższą metę jest prymitywny i nużący. Stylizacja natomiast „za ładna”, zbyt wy-
glądząca. Ale zakopiański festiwal, dający możliwość pokazania programów autentycz-
nych, stylizowanych i artystycznie op-
racowanych specjalnie do potrzeb zespołu, godzi znakomicie zwolenników każdego z tych gatunków, przyznając pierwszeństwo pięknu i sztuce.

W Zakopanem zastanawiano się głów-
nie nad tym, czy festiwal powinien być nadal konkursem, czy też nie należałoby zamienić go w przegląd zespołów. Dla krajów socjalistycznych zakopiański mię-
dzynarodowy konkurs jest czymś zupełnie wyjątkowym, gdyż większość imprez tego typu w tych krajach właśnie odbywa się na zasadzie przeglądu. Za przeglądem opowiadało się też wielu zagranicznych członków jury. Norwegowie i Rumuni zwracali uwagę na trudność oceny ama-
torskich zespołów, argumentując, że dla nich łączy się to z wartościowaniem fol-
kloru, a co za tym idzie, kultury ludowej. Jest to opinia mocno przejaśkrawiona, gdyż nikt nie wprowadza takiej skali ocen i nie twierdzi, że kultura górali podhalań-
skich jest lepsza od folkloru górali szwaj-
carskich. Jest po prostu inna. Rosjanie i Czesi opowiadali się za konkursem, są-
dząc, że tylko tym można zachęcić mały zespół do podniesienia swego poziomu, do dalszej pracy i poszukiwań. Jaka po tych dyskusjach będzie przyszłość festiwalu? W tej chwili jeszcze nie wiadomo.

Na międzynarodowy festiwal w Zako-

panem można również spojrzeć jako na imprezę głoszącą pochwałę regionu i lo-
kalnego patriotyzmu. We wszystkich kra-
jach kultura ludów górskich, żyjących w podobnych warunkach klimatycznych i uprawiających te same zajęcia, szcze-
gólnie się wyróżnia w ogólnej kulturze kraju. W krajach karpaccich uwidacznia-
ją się podobieństwa góralskiego folkloru, które wynikają z warunków historycz-
nych. Górale świadomie i z pietyzmem utrwalają odrębności swojej kultury. Fol-
klor sprzyja tworzeniu poczucia więzi z rodzimym środowiskiem. Znałe są fakty, że na emigracji, w zupełnie obcym środo-
wisku, pielęgnuje się starannie folklor ro-
dzimej wsi, jako często jedyny łącznik ze starym krajem. Przykładów nie trzeba szukać aż za granicą. Studencki Zespół Góralski „Skalni” z Wyższej Szkoły Rol-
niczej w Krakowie istnieje już 20 lat. Tańczą w nim i śpiewają studenci urodze-
ni i wychowani na Skalnym Podhalu, którzy nie wstydzą się swojej góralszczy-
ny, ale przeciwnie, są z niej dumni.

Praca w zespole regionalnym wpływać musi z poczucia dumy i potrzeby łączno-
ści z własną „małą ojczyzną”. Odrębność w pozytywnym słowa znaczeniu i przy-
wiązanie do własnego regionu występuje oczywiście nie tylko u górali. Z tych też powodów i ze względu na wysoki waro-
ści wychowawcze i patriotyczne, w polity-
ce kulturalnej państw socjalistycznych przywiązuje się tak wielką wagę do pie-
łęgnowania folkloru. Zespół ludowy jest często dumą swojej wsi, nagrodą przywie-
ziona z festiwalu (to właśnie przemawia za konkursem) zachętą do pracy, często do działalności społecznej na terenie wła-
snego regionu. Znany jest przykład Łysej Góry w województwie krakowskim, w której zespół regionalny tak potrafił ze-
spółić środowisko, tak zachęcić do pracy społecznej, że — choć rozpoczęto od pio-
senek ludowych — to skończono na gazy-
fikacji wsi. W zespole folklorystycznym zacierają się również granice między star-
szymi, a młodymi, a jedni od drugich ko-
rzystają i uczą się. I dlatego też zakopiań-
ski festiwal alosi pochwałę regionu i je-
go ludowej kultury, bez względu na gra-
nice, pochodzenie i język.

Teatr

Cyrano de Bergerac — ten, którego znamy ze sztuki Edmonda Rostanda, czy jest takim, jakim był naprawdę? Pisał się różnie: raz Aleksander de Cyrano de Bergerac, kiedy indziej, de Cyrano de Bergerac lub Savinien de Cyrano i jeszcze inaczej, a wszystko po to, aby ukryć najistotniejszy defekt swojej biografii. Bowiem gaskoński szlachcic — zawiadł z utworu Rostanda naprawdę nie był ani szlachcicem, ani gaskończykiem.

Urodził się w solidnej, z pretensjami do wyższej kondycji rodzinie mieszczańskiej w Paryżu w 1619 r., dzieciństwo spędził na wsi dopiero jako kilkunastoletni chłopiec przybył na stałe do stolicy uzupełniać braki prowincjonalnej edukacji. Obracał się zrazu wśród pracowitych mieszczańców i dopiero około piętnastego roku życia uległ magii wyższego, szlacheckiego świata. Okoliczność, że jego ojciec był jeszcze niedawno właścicielem zamku Mauvières przdała mu się wielce: wszak niegdyś posiadał to należała do szlacheckiego rodu Bergerac. Cóż lepszego mogło więc chłopcu przyjść do głowy, jak dodać do swego imienia nazwisko „dawnych właścicieli” sprzedanego właśnie ojcowskiego majątku? Cyrano stał się więc Bergerakiem — od razu i szlachcicem, i gaskończykiem.

Resztę sprawiła kobieta, przyjaciela, a przede wszystkim własne uzdolnienia i... temperament Cyrana. Kobieta — w wielki świat wprowadziła go kuzynka, Magdalena baronowa de Neuville, która wcale nie była Roksana. Żywiołem były jej bale, którymi olśniewała ca-

ły Paryż, wspaniałe stroje, ekwipaże, no i oczywiście rój mężczyzn. Przyjaciele — ci, z którymi gawędził przy winie, poeci, uczeni i różne szalawili, i tamci, jak bliski mu od dzieciństwa Henryk Le Bret, którym marzyła się wojaczka. Rychło też nadarzyła się okazja, aby zaciągnąć się pod wojskowe sztandary: rozpoczęła się wojna z Hiszpanią. Cyrano wraz z Le Bretem zaciągnął się do kompanii gwardii. Wybór nie był przypadkowy: składała się ona wyłącznie z gaskońskiej szlachty, więc człowiek o nazwisku de Bergerac nie mógł znaleźć się gdzie indziej! Cyrano poczuł się teraz wspaniałe: imponował brawurą, pojedynkował się, kiedy i gdzie popadło, i jeszcze znajdował czas dla swych literackich zamiłowań. Bowiem już wcześniej zaczął pisać Ranny pod Aras (1640) musiał zrezygnować z rycerskiego rzemiosła: wrócił do spokojniejszego żywota w Paryżu, do prac naukowych i literackich. Aby nie wyjść z wprawy brał lekcje fechtunku i ... tańca.

Awantur nie unikał — walka przeciw stu napastnikom koło bramy Nesle, która zajmuje tak ważne miejsce w sztuce Rostanda, nie jest tylko legendą. Były jednak i starcia, które nie przynosiły chwały. Jak ów bój z... małpą na Pont Neuf, po którym Cyrano na jakiś czas umknął z Paryża, nie chcąc znieść drwin. Spór z Montfleurem — wielkim aktorem stulecia — także był faktem, chociaż nie wiadomo, czy nie chodziło o innego artystę, mianowicie Montdory'ego, na pewno jednak przebiegał inaczej, niż w dramacie Rostanda. Podobnie epizod z kłoda, która spadła akurat wtedy, gdy Cyrano przechodził ulicą. Był to zapewne zamach, nie pierwszy zresztą, na jego życie, być może zgotowany przez... jakiegoś jezuity, tyle, że nie zakończony tak tragicznie, jak u Rostanda. Cyrano został ciężko ranny, ale zmarł dopiero po długiej chorobie w ponad rok później, w 1655 r.

Był głośnym pisarzem, autorem świetnej komedii „Pedant oszukany”, stawiającej niegdyś obok „Don Kichota” Cervantesa, z której Moliere bezceremonialnie ściągnął całą scenę. Napisał tragedię „Śmierć Agrypiny”, wiele drobnych utworów, a przede wszystkim obszerne

Andrzej F. Grabski

Gaskończyk z urojenia i charakteru

działu filozoficznego, utopię „Tamten świat”, utwór będący wyzwaniem libertynskiego myśliciela, skierowanym w stronę wszelkiej ortodoksji, ujęty w formie opisu podróży po państwach Księżyca i Słońca.

Z wizerunku bohatera przedstawionego przez Rostanda pozostaje niewiele poza jego zawiadłym temperamentalnym i szczegółem fizjologicznym: wyjątkowej kompleksji nosem. Pisarz miał na jego punkcie małą obsesję. Nie darmo kazał mieszkańcom Księżyca twierdzić, iż doświadczenie trzydziestu wieków wskazuje „że nos potężny to na drzewach naszych jakby sztyl, który głosi: Tu mieszka człowiek dowcipny, roztropny, maniery, uprzejmy, szlachetny i hojny; a nos krótki świadczy o wadach przeciwnych” — wymienionym cnotom.

Portret rzeczywisty — o ilez bliższy jest od tego, który ukazuje sztuka Rostanda! Dzieło późniejszego francuskiego romantyka oparło się zmienności mody i powróciło na deskę największych teatrów świata dzięki swym wyjątkowym walorom scenicznym. Nie utraciły swojej aktualności słowa Boya: „nikt nie

uważa dziś „Cyrana” za epokę literatury francuskiej tak samo mniej więcej, jak nie są w niej epoką „Trzej muszkieterowie”, co nie przeszkadza, iż ta komedia Rostanda pozostała do dziś dziełem niepospolitym, świetną erupcją francuskiej werwy, sentymentu, łatwości i barwności słowa oraz rasowego instynktu teatralności”.

Przypomniano je w programie spektaklu „Cyrano de Bergerac” Edmonda Rostanda, z którym wystąpił Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej. Premiera odbyła się tuż przed wakacjami, a przedstawieniem z początku września teatr otworzył nowy sezon. Nie ukrywam, że na premierę szedłem nie bez obaw: czy zespół, złożony w znacznej mierze z młodych aktorów, pracujących w bardzo trudnych warunkach, zdoła udźwignąć utwór stawiający wykonawcom tak wielkie wymagania, potrafi podjąć tradycję wielkiego aktorstwa, jaka wiąże się z rolami Cyrana i Roksany? Po raz drugi wybrałem się na ten spektakl z przekonaniem, że jest on nie tylko świadectwem ambicji Teatru Ziemi Łódzkiej, lecz także jego artystycznych możliwości.

Więc najpierw tekst: Halina Szram-Kijowska oparła się o piękny poetycki przekład Marli Konopnickiej, szczęśliwie uwalniając go od słodkiego sentymentalizmu przy pomocy tłumaczeń Kasprowicza i Zagórskiego.

Dylemat: jak pogodzić przestrzenne wymagania utworu (sceny pojedynków, oblężenia itd.) z obiektywnymi warunkami swojej sceny reżyser Jan Perz ostrygnął w sposób śmiały i prosty. Przebudował widowie, zrezygnował z wyłączonej tradycyjnej sceny, zbudował naprzeciw niej drugą i wyprowadził aktorów między widzów, którzy stali się współuczestnikami akcji scenicznej. Zaproponował spektakl kameralny, taki, który można zaprezentować w każdej sali widowiskowej, a nawet w hali fabrycznej. Nowoczesność inscenizacji nie miała tu na celu epatowanie widza; jest ona funkcjonalna zarówno w stosunku do wystawianej sztuki, jak i założeń teatru jako sceny objazdowej, pragnącej dotrzeć nawet tam, gdzie dotąd żaden teatr nie zawiązał. Ale reżyserska koncepcja Jana Perza kryła w sobie niemałe niebezpieczeństwo: wymagała od całego zespołu doskonałego aktorstwa.

Uwaga: w łódzkim spektaklu rola Cyrana, wspaniała, ale jakże odpowiedzialna, stawiająca artystę zadania najwyższe, zrodziła Aktora. Zbigniew Bielski: sugestywny, subtelny, a przecież i powściągliwy; jak rzadko kto z jego (bardzo przecież młodego) pokolenia czuje wiersz. Jest Cyraniem refleksyjnym, lirycznym, stopniowo przekonuje widza, że nie jest tylko buńczucznym zawiadłym ze sceny z Montfleurem, czy pojedynku z wicehrabią Valvertem, najświetniejszym z gaskońskich junaków Carbona de Castel-Jaloux (jak pięknie wykonała balladę). Od spotkania z Roksana, przez świetną scenę balkonową i rozmowę z Christianem stwarza dramatyczne napięcie, które osiągnie swój szczyt w ostatnim akcie. Z chwilą ukazania się artysty na scenie w V akcie należy ona już tylko do niego. Wstrząsająca scena śmierci Cyrana, tak, jak ją zagrał Zbigniew Bielski, na długo pozostanie w naszej pamięci.

W łódzkim spektaklu poznaliśmy dwie Roksany: na

premierze grała tę rolę Wiesława Kosmalka, może nieco przesłodzona w niektórych scenach, na otwarcie sezonu wystąpiła, po raz pierwszy w Łodzi, Dagmar Foniok. Z początku w grze jej dało się wyczuć skrepowanie, które jednak ustąpiło w arcypięknej scenie spotkania z Christianem, zagranej subtelnie, acz bez cłkwej minoterii, o którą tu tak łatwo, i której nie uniknęła jej poprzedniczka. Powierzenie roli Roksany tej aktorce jest pomysłem szczęśliwym i korzystnym dla całości przedstawienia.

Andrzej Jurczak w roli Christiana de Neuville był na otwarcie sezonu ciekawszy, niż na premierze: wówczas przeszkadzało mu skrepowanie, po którym teraz nie ma śladu; w pamięci zostaje zwłaszcza jego ostatnia, przedśmiertna scena.

Dwie role — paszetylnika Ragueneau i Kapucyna — zagrał Jerzy Staszewski z właściwym sobie ciepłem i humorem; jak zwykle u niego — bardzo interesujący.

Podobnie jak Christian od czasu premiery korzystnie zmienił się habria de Guiche — Tadeusz Teodorczyk — dziś pogłębiony psychologicznie, a przez to bardziej prawdziwy. Chciałoby się wspomnieć jeszcze o kilku innych rolach, takich jak Roznosicielka (Barbara Więckowska) czy Lignier (Marian Harasimowicz)...

„Cyrano de Bergerac” jest pełnym sukcesem Państwowego Teatru Ziemi Łódzkiej. Jest jednocześnie świadomym wyzwaniem, skierowanym w stronę tych, którzy proponują całkiem inny kształt teatru dla najszerszego, masowego odbiorcy. Piękny spektakl sztuki Rostanda rozpoczyna swoją objazdową wędrowkę. W tym samym czasie na jednej z największych scen wielkiego miasta coraz częściej pojawia się „Tredowata”. Dwie koncepcje teatru, dwa poglądy na to, cośmy winni masowemu widzowi. Cenię Teatr Ziemi Łódzkiej za to, że nie idzie na łatwiznę.

PAŃSTWOWY TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ: EDMOND ROSTAND: Cyrano de Bergerac. Komedia heroiczna w 5 aktach. Przekład: Maria Konopnicka, Włodzimierz Zagórski, Jan Kasprowicz. Opracowanie tekstu: Halina Szram-Kijowska. REŻYSERIA: Jan Perz. Scenografia: Henri Poulain.

Dalszy ciąg ze str. 1

większa, po Śląsku, aglomeracja przemysłowo-miejska, zbliżająca się powoli do miliona mieszkańców. Ten wielki potencjał demograficzny, społeczny i ekonomiczny, rozwijający się pośrodku województwa, nie doczekał się do tej pory należytego sprzężenia z resztą naszego obszaru. Między innymi, nie ma on właściwego powiązania produkcji rolnej z aglomeracją przemysłowo-miejską, choćby tego typu, jaką się obserwuje wokół Warszawy, czy Wrocławia. Nie ulega zaś wątpliwości, że w łódzkiej aglomeracji istnieje szczególnie pilna potrzeba racjonalnego rozwiązania tego problemu.

I to zarówno z przyczyn ekonomicznych, jak i społecznych. Z przyczyn ekonomicznych dlatego, że przeciętne zarobki tutaj, z racji przewagi przemysłu lekkiego, są wyraźnie niższe, niż w innych okręgach. Stąd też, ogólnie mówiąc, i sytuacja rynkowa jest tu bardziej skomplikowana, niż gdzie indziej i bardziej podatna na różnorodne zaburzenia. Z przyczyn społecznych dlatego, że aglomeracja łódzka posiada niezmiernie wysoki procent zatrudnionych kobiet. Niższe zarobki, zle zaopatrzenie, i inne perturbacje, odczuwają przede wszystkim kobiety, bowiem na ich barkach spoczywa główny ciężar prawidłowego funkcjonowania rodziny.

Należy więc, w możliwie najkrótszym czasie, stworzyć wewnątrz tej aglomeracji i wokół niej, racjonalnie zorganizowaną i sprawnie działającą strefę życiową. Do wypracowania tej koncepcji i następnie do wprowadzenia jej w życie potrzebne jest zespolenie wysiłków ludzi nauki różnych dziedzin: geografów, socjologów, lekarzy, na których głównie spoczywa odpowiedzialność za stworzenie nowoczesnego modelu żywieniowego złożonej społeczności łódzkiej, rolników, ekonomistów, biochemików, techników i wielu innych. Jest to jeden z najbardziej palących, i zarazem wdzicznych, problemów, który trzeba rozwiązać, jak najszybciej.

Niemniej ważnym zagadnieniem choć wymagającym dużo czasu jest stworzenie w regionie racjonalnego kompleksu gospodarczego.

— Jak należy rozumieć określenie: „racjonalnego”?

— Ogólnie i teoretycznie rzecz ujmując, oznacza to, że powinien to być kompleks zgodny z regionalnymi warunkami historycznymi, ekologicznymi i społecznymi, albo też z nich wynikający.

— Jaki z warunków historycznych uważa Pan za najważniejszy?

— Wydaje się, iż jednym z najbardziej znamienitych faktów historycznych rozwoju ziemi łódzkiej jest jej nadmierna specjalizacja w przemyśle lekkim, głównie włókienniczym.

Ekonomiczne i społeczne konsekwencje tego faktu są oczywiste, lecz niedostatecznie zwaloryzowane przez ekonomistów, polityków, planistów i socjologów. Na całym świecie powszechnie wiadomo, że w przeszłości okręgi włókiennicze zawsze należały do tak zwanych „okręgów porażonych”. Treścią tego pojęcia była wyraźna dysproporcja w dochodach ludności, zamieszkującej te obszary, w porównaniu z dochodami ludności na obszarach, grupujących inne gałęzie przemysłu. Na ziemi łódzkiej konsekwencje tego zjawiska były tym bardziej dotkliwe, że przemysł włókienniczy został tutaj nieomal całkowicie oparty na pracy robotniczej na tym terenie był znacznie wyższy, niż na przykład w okręgu manchesterskim czy mediolańskim. Dodajmy jeszcze do tego wysoki narodowościowy: Polak mógł być robotnikiem, ale majstrem tylko Niemiec. Dlatego też problem niższych zarobków wykraczał daleko poza sferę ekonomiki, sięgając do sfery kultury, oświaty, a nawet zdrowia. Całe pokolenia naszego regionu były systematycznie niedożywiane, przemęczone, zniechęcone.

Rewolucja w 1945 roku w Polsce zburzyła zmurszałe stosunki społeczne. Uspokojenie środków produkcji zlikwidowało wyzysk klasy robotniczej i ucisk narodowościowy. Polityka partii i rządu zmierza konsekwentnie do podnoszenia poziomu życia ludzi pracy. To są fakty bezsporne. Niemniej jednak, z przyczyn techniczno-ekonomicznych, istnieją jeszcze na terenie kraju wyraźne różnice w przeciętnych zarobkach, a okręg łódzki, z jego historyczną dominacją przemysłu włókienniczego, o dużym stopniu zużycia technicznego i przestarzałej strukturze produkcyjnej, należy do regionów o najniższych przeciętnych zarobkach w kraju. Istnieje więc konieczność opracowania takiego modelu gospodarczego dla regionu łódzkiego, który by w możliwie najkrótszym czasie usunął dysproporcje, nie gubiąc nic z dorobku pokoleń.

— Czy istnieją jeszcze jakieś inne nawarstwienia historyczne, wpływające na dalszy rozwój regionu?

— Owszem. Jak wiadomo, Łódź i otaczający ją obszar leżą w centrum Polski. Przez naszą ziemię wiodą ważne szlaki komunikacyjne, ze wschodu na zachód i z północy na południe. Niektóre z nich, jest to właśnie ów fakt historyczny, stały się osią wzdłuż której rozwinęło się osadnictwo, przemysł, rolnictwo. Przykład: linia kolejowa wiążąca Warszawę z Górnym Śląskiem, wzdłuż której pow-

W ŚRODKU

stał cały łańcuch zakładów przemysłowych, wciąż rozbudowywanych, wzdłuż niej rozwijają się miasta i osiedla, intensyfikuje rolnictwo.

Inne szlaki komunikacyjne, przebiegające przez województwo, raczej je obciążają. Na przykład na tak zwanej magistrali węglowej, południkowo przecinającej zachodnie obszary województwa, poza najwęższą datę cementownią w Działoszynie, właściciel nie zbudował niczego godnego uwagi. A przecież przez tę strefę przepływa, że użyję tego określenia w ciągu doby kilkadziesiąt tysięcy ton węgla, surowców, półfabrykatów, produktów gotowych itp. itd. Na tym intensywnym ruchu towarów można by oprzeć budowę różnych nowoczesnych zakładów przemysłowych, odciażając nadmiernie zainwestowany Śląsk, czy też Trójmiasto i wypełniając równocześnie pustki dawniejszego pogranicza prusko-rosyjskiego z okresu rozbiorów.

— Dotyczy to, jak sądzę, także rozwijającej się stale komunikacji samochodowej, głównie towarowej?

— Oczywiście. Przez Łódź i województwo prowadzą międzynarodowe szlaki komunikacji samochodowej, jak na przykład E-10, E-12, E-82. Bez ustanku przewalają się przez nie potoki towarów i ludzi we wszystkich kierunkach. Natomiast stopień wykorzystania tego, przecież pozytywnego, zjawiska dla potrzeb gospodarki miasta i województwa jest nikły.

Najpierw dla przypomnienia kilka znanych szczegółów.

Jednym z pierwszych rozporządzeń Kreona, gdy po bratobójczej walce Eteoklesa i Polinika o tron królewski objął władzę w Tebach, był zakaz pochowania zwłok Polinika, wydanie go na pastwę psom i sepoim za to, że ten starszy syn Edypa, chcąc odebrać władzę mu przez młodszego brata, władzę, wygnany przez niego z kraju sprowadził na Teby obce wojska. Drugim rozporządzeniem Kreona był wyrok śmierci na Antygonę, która pochowała ciało zmarłego brata, pomna tego, że bez choćby symbolicznego obrzędu pogrzebowego, jakiego dokonała, skrapiając zwłoki potrójnym płynem (mleko, wino, oliwa) i przysypując je garścią piasku, zmarły cierpiałby po wiek wieków, błądząc po ziemi pod postacią upiora. Kreonowy zakaz pochowania ciała zmarłego był więc próbą rozciągnięcia władzy ludzkiej na posmiertne bytowanie człowieka, którym rozporządzali już tylko bogowie, więc — w pojęciu ówczesnych wierzeń — był targnięciem się człowieka (Kreona) na prawa boskie, w obronie których wystąpiła Antyгона, łamiąc w ten sposób rozporządzenia ludzkie — Panującego. W naszym dzisiejszym pojęciu, oczywiście, Antyгона stanęła w obronie niepisanych, elementarnych praw ludzkich, jakim przykładowo tutaj jest prawo umarłego do grobu, do spokoju po śmierci, a żywych — obowiązek oddania ostatniej posługi umarłemu, prawo do uczuć żalu po stracie najbliższych, do miłosierdzia, wyrażanego tutaj przez troskę o życie pozagrobowe nawet jeżeli zmarły popełnił czyny godne potępienia. Wyrok śmierci na Antygonę był z kolei pogwałceniem tych praw i uczuć elementarnych. Wolności wierzeń, niesprecyzowanych z interesem państwa. Zasadniczo więc konflikt wcale nie leży w starciu się dwóch rzekomo równorzędnych racji, racji jednostki i racji politycznej, jak się niektórym z recenzentów wymknęło, Antyгона nie reprezentuje racji jednostki, ale prawa i uczucia ogólnoludzkie. Konflikt nadzwyczajny rozgrywa się na innej płaszczyźnie — postaw moralno-etycznych wobec tych właśnie niepisanych podstawowych praw człowieka. Wątek zaś polityczny, starcie Antygony z Kreonem jest tu ostrą sytuacją, w której pod wpływem zagęszczonych zdarzeń i napięć dramatycznych odbywa się polaryzacja, różnicowanie się aż do przeciwstawności postaw moralnych. Sama zaś fabuła „Antygony” — metafora, pojętna, ustalona w literaturze wzorcową figurą stylistyczną, której treść ma w historii swoje układy odniesień. Nie jest, oczywiście, obojętne, czy nieistotne, że właśnie Kreon łamie te elementarne prawa. Literatura niewiele znalazła formuł — sytuacji lepiej ukazujących owo, jak powiada Kreon „szersze pole”, które odsłania trudne do przeniknięcia zazwyczaj zamysły i pragnienia człowieka, jak sytuację Ojca, Pana czy Księcia, sytuację szczególnie też sposobną dla ujawniania się postaw moralnych, „twarzy” ludzkich.

Inscenizator, Jerzy Grzegorzewski, zestroikowując całą uwagę na tej ostrej sytuacji dramatycznej, na zderzeniu Poddanej z Panującym, wypunktował uniwersalny problem postaw i odpowiedzialności moralnej

Wanda Karczewska

JEDYNYM

szczęściem

-MĄDROŚĆ

człowieka za własne czyny w sposób logiczny, spójny, z wiernością dla myśli dzieła, nie jego formy. Skróty dokonane w tym celu w dialogach postaci, przede wszystkim zaś rezygnacja z całego polskiego tekstu Chóru, z wyjątkiem tekstu Koryfeusza (Mariusz Leszczyński), mają daleko większe konsekwencje, niż uzyskanie zwartości spektaklu i wyrazistości podanych treści myślowych. Nie wiem czy inscenizator zrezygnował ze znaczeń, jakie niesie tkanka słowna pieśni Chóru, pełniącego przy Kreonie rolę „starszyny” czyli przybożnej rady królewskiej, dlatego że w zasadzie nie wnoszą one nic do samej akcji, raczej ją komentują, ukazując ducha epoki, świadcząc poza tym o ugodowej postawie Rady wobec Króla, skwapliwie utwierdzającej go o słuszności wydanych okrutnych wyroków, gdy Kreon jest silny, a odmawiającej mu rozważli i oczekującej cofnięcia wyroków, gdy staje się słabszy, że wkrótce całe miasto odwróci się od niego.

Widoczny jest dla mnie efekt skrócenia tekstu Chóru, komentatora wydarzeń odwołującego się do bogów, wieszczów, wyroczni, przywołującego miły i legendy, między innymi historię przekształcenia bogów rzuconego na ród Labdakidów, którego przedstawicielem latosił — jest Antyгона. Efekt ten jest rezygnacją z dydaktycznych nauk zawartych w pieśniach Chóru, głoszących, że człowiek, ta najwspanialsza istota ze stworzeń ziemskich jest tylko okrucieństwem w ręku bogów: człowiek (Antyгона) wypełnia tylko rolę przeznaczoną mu przez bogów, człowiek (Kreon) jest ślepy narządem nieświadomości działającym tak, aby przeznaczenie się spełniło. Odrzucenie polskiego tekstu Chóru (same postaci Chóru zostały w spektaklu zachowane, zdają się pełnić tylko

inną funkcję — ludu tebańskiego, strzępy zaś pieśni skandowane w greckim języku są jednym ze znaków różnorodnych czasów, w jakim „sprawa Antygony” mogła być i może się zdarzać), odrzucenie pieśni Chóru osłabia irracjonalną motywację zachowań i działań postaci (w swoim własnym tekście wystraszając spór mówią o tym, co pozwala umiejscowić je w wierzeniach, obyczajach i klimacie epoki). Ta rezygnacja z Chóru już nawet nie to, że łączy problematykę, czyniąc ją bardziej powszechną, przede wszystkim wyposażyła postać w większą świadomość siebie, swoich działań: człowiekiem rządzi nie siły irracjonalne, człowiek rządzi sam sobą, kierując się w postępowaniu rozważą lub brakiem rozumu, uczuciami, pragnieniami, żądzą, uznawana przez siebie hierarchia wartości. Człowiek przeto musi ponieść konsekwencje czynów i przyjąć za nie odpowiedzialność.

Ta wiedza o biopsychicznych mechanizmach ludzkich działań, dość szczerze spowita religijno-obejzłową otoczką, jest jednak zawarta immanentnie w dziele Sofoklesa, spektakl ją tylko starannie wysłuchuje i wyraziście odsłania. Do sugestywnego przekazania tego współczesnego widzenia „Antygony” przyczynili się wszyscy aktorzy, zwłaszcza odwołujący się do roli — Ewa Mirowska i Marek Bargiełowski. Mirowska gra Antygonę w skupieniu, na zaciśnięciu, niemal zniechęceniu, napięciu, w pełni świadoma swoich czynów i grozących jej następstw. Jest wzruszająco ludzka; przez pozorny spokój jej słów i twarzy o ledwo drgających ustach przebiega udręka i lęk. Mówi do Kreona, jak się mówi do połącznego wroga — cicho, z niełatwą trwogą przed śmiercią, ale bez żadnej

lęku, z poczuciem godności, z przekonaniem o słuszności swej sprawy, choć z goryczą, nie przeszkadzającą jej jednak nazwać przeciwnika tyranem w imieniu tych — powiada — którzy myślą to samo, ale którym usta strach zaciśnął, w imieniu ludu tebańskiego. Trzeba przysłuchać się milczeniu widowni, z jakim słucha tego prawie półszeptu Antygony, to najlepszy sprawdzian skupienia i poruszenia, osiągniętego wielką prostotą gry aktorki. Marek Bargiełowski z całą lojalnością aktorską, przekonywającą aż do uwierzenia mu, zagrał Kreona deklarującego swój patriotyzm i praworządność, gdy ten zasądził surowość swoich wyroków wydanych na Polinika i Antygonę troską o ład w państwie — „kto w swoim domu potrafi się rzadzić, ten sterem państwa pokieruje dobrze” — gdy zapewniał, że szczęście miasta jest „jego szczęściem”. Aktor nie odmówił też użyczenia Kreonowi siły wewnętrznego przekonania o swojej racji politycznej nawet wtedy, gdy Król — usłyszawszy od Hajmona (Stanisław Kwaśniak), że lud uważa Antygonę winną nie kary ale nagrody — wybucha: „Wiedź lud mi wskaże, co ja mam zarządzać? Czyż nie do władzy więc należy państwo?”. Jest osiągnięciem Bargiełowskiego, że ten Kreon rządzić się gwałtem i samowolą, nazwany głupcem przez własnego syna, który mu powiada, aby szedł na pustynię, jeżeli chce rządzić „wzorem ludowi”, że ten Kreon uparcie pomawiający wszystkich o znowę, zdradę, przekupstwo, nawet Tyreza (Andrzej Głogowski), któremu zawiązał tron (Tyrezaższ kazal ongi Kreonowi złożyć syna, Megareusa w ofierze bogom dla wyłapania zwycięzcy nad wrogimi wojskami atakującymi Teby), że w końcu ten Kreon budzi litość, porażony „ładem”, jaki zaprowadził we własnej rodzinie, potrojnym samobójstwem — Antygony zamkniętej w skalistym grobowcu, swego syna, Hajmona, jej narzeczonego i żony swej, Eurydyki, która nie może znieść śmierci drugiego syna. Będzie też nie małym profilem dla młodego widza, dla którego także to dzieło jest przeznaczone (spektakle szkolne) że łatwiej ustali on w tej odirracjonalizowanej inscenizacji odpowiedzialność Kreona za swoje „racje polityczne” dyktowane żądzą władzy i brakiem mądrości politycznej, odpowiedzialność jaką Kreon — zgodnie z ówczesnymi wierzeniami — składa na barki bogów, którzy „odebrali mu rozum”, czyniąc jego wyroki rozkazami szaleńca na tronie. (Choć nasze ludowe porzekadło mówi: kogo Pan Bóg chce ukarać, temu rozum odbiera.)

„Jedynym szczęściem — mądrością”, mówi twórca „Antygony” granej przez Teatr Jaracza w nowym przekładzie Stanisława Hebanowskiego, którego zrytmizowana proza, współczesny język jasnie oddający myśli i pojęcia Sofoklesa, niż stare tłumaczenia — wierne wierszowanemu kształtowi oryginału, przyczyniły się zapewne w dużej mierze do klarowności tej współczesnej inscenizacji, na jaką złożyły się zresztą wszystkie konsekwentnie użyte środki wyrazu scenicznego, tworzące jednolitą czystą konwencję stylistyczną. Tworzą je zarówno dekoracja abstrakcyjna, której geometryczne formy, płaszczyzny, linie, kolor, pełniące funkcję znaków-symbole o wielu zresztą zna-

Teatr

czeń, nie opisują miejsca niezasu akcji, ale je rozszerzają, jak i układy innych pozornie sprzecznych ze sobą elementów, które stanowią przemyślane, różnorodne znaki-ogniwa w łańcuchu czasu, w jakim problematyka „Antygony” mogła być się realizować, a więc: powiązane ze sobą takie elementy, jak grecki język Chóru, abstrakcyjne formy dekoracji kojarzące się ze skrzydłami szybowca, introdukcja muzyczna Stanisława Radwana wywodząca się z ducha kompozycji Pendereckiego, oparta na głosach otaczającego nas dzisiaj świata — na echem strzałów, zgrzytów, zgiełku bielnego, głosów ludzkich, warkotu silnika samolotowego, jego grania, rozszepiającego się w końcu w złożoną okławę dźwięków syren, czy organowych tonów. Przesłami pomostu między starożytnością a współczesnością są także ani archaiczne ani nie natrętnie współczesniające sztuki kostiumy: dyskretnie stylizowane na jakby kapłańską, grecką szatę, strój wroźbity, Tyrezaższ, dalej — skonstruowane w oparciu o trykot ubiory Kreona, Hajmona (bardzo obełste czarne spodnie, czarne swetry, rozbarwione tylko nieco u góry sweterki Koryfeusza i Posłańca królewskiego — Janusza Krawczyka), przyodziewek Chóru wystylizowany na raczej tradycyjny chłopski odświętny ubiór — czarne surdutowe ubrania ze spodniami wpuśczoneymi w szerokie cholewy butów chłopskich. Barwne, ludowe serdaki Antygony, Ismeny (Teresa Marczevska), Eurydyki przy ich raczej zgrzebnym czarnym fałdystycznym spodniach wydają się symbolizować więzy wspólnych postaw tych kobiet z ludem tebańskim. Może najmniej udanym „znakiem czasu” jest ubiór Strażnika (Stanisław Jaroszyński): polska sukmana z podwiniętymi po napełnieniu połamami i z jakoś dziwnie noszonym stojkowym (mówiąc po damsku) koltierzem, co zresztą kojarzy się z mundurem czy liberią, symbolem państwowego „wykonawcy rozkazów Zwierzchnika. W tej zresztą jednej postaci nie wyczuwano się nie więcej przez martwego spokoju, a przecież człowiek ten u Sofoklesa wieje się ze strachu. Wydaje mi się to jedną z nielicznych skaz tego spektaklu, ale może takiego martwego, bezzadusznego wykonawcę litery prawa chciał widzieć w tej postaci inscenizator.

Teatr Im. Jaracza, „Antyгона” Sofoklesa, przekład Stanisława Hebanowskiego, inscenizacja i reżyseria Jerzego Grzegorzewskiego, muzyka Stanisława Radwana.

Brak jest hoteli, moteli, odpowiedniej bazy wyżywieniowej. Turyści, nasi i zagraniczni, przelatują przez nasz obszar jak wicher, gdziekolwiek tylko przyhamują, popatrzą i już lecą dalej. Nad Łodzią krzyżują się krajowe i międzynarodowe szlaki lotnicze. Ponosimy wszystkie uciążliwe skutki lotnictwa, nie odnosząc z nich najmniejszych korzyści, ponieważ brak w Łodzi lotniska...

POLSKI

Reasumując: region jest usytuowany bardzo dogodnie, nie mógł być położony lepiej, ale korzyści z tego tytułu nie mamy wiele. Odnoszą je inne regiony, naszym kosztem. Co więcej, choć zabrzmi to paradoksalnie, nasze położenie przynosi nam znaczne szkody. Ciężki, towarowy tabor samochodowy niszczy nam szosy i ulice miast, a tymczasem nakłady inwestycyjne na drogi w naszym województwie należały, jeszcze do niedawna, do najniższych w kraju.

Będąc przy uwarunkowaniach historycznych, wspomnę nawiasem, że rękodzielnictwo artystyczne, przy zachowaniu prymatu nowoczesnego przemysłu fabrycznego, może stać się ważnym czynnikiem aktywizacji gospodarczej niektórych naszych mikroregionów.

— Jaką rolę winny odegrać warunki ekologiczne w opracowaniu racjonalnej koncepcji kompleksu gospodarczego regionu, o których wspominał Pan Profesor na początku naszej rozmowy?

— Ogromną. Przez warunki ekologiczne rozumiem wzajemnie sprzężony zespół elementów przyrodniczych, w których żyje i rozwija się społeczność miasta i województwa. Przywykło się na przykład uważać nasz region za wyjątkowo ubogi w sensie surowcowym. I tym też argumento-

wano niski stopień nakładów inwestycyjnych w województwie. Wartość środków trwałych, przeliczona na mieszkańca lub na jednostkę powierzchni, nadal stawia nas na szarym końcu wśród wszystkich województw. Istotnie, ziemia łódzka nie była zasobna w surowce mineralne, które gdzie indziej stały się podstawą rozwoju wielkiego przemysłu. Nawiasem mówiąc, nie przypuszczano nawet, że region łódzki może kryć bogactwa złoża brunatnego, który w nowoczesnej gospodarce powinien się stać podstawą wielkiego potencjału energetycznego o znaczeniu ogólnokrajowym, a może i międzynarodowym. Borykamy się z trudnościami w gospodarce przemysłowej, rolnej i komunalnej, spowodowanymi niedostatkami wody. Większość obszaru województwa pokrywają mało urodzajne gleby. Siedlisko naturalne, przyrodnicze, raczej nie stymuluje pomysłowości i przedsiębiorczości ludzkiej. Odwrotnie, niż w regionach o dużej różnorodności bogactw mineralnych, przykład — Śląsk.

Ze stwierdzenia niedostatków nie wolno jednak wyciągać wniosków o jakiejś generalnej nieopłacalności inwestycji przemysłowej na tym obszarze jak to czyniono w przeszłości. Nie można tu wprawdzie budować wielkiego przemysłu, uwarunkowanego surowcami, których jest niewiele. Mamy jednak przed sobą wspaniałą wizję Belchowskiego Okręgu Górniczo-Energetycznego. Istnieją doskonałe warunki na szeroką rozbudowę, w oparciu o produkty roślinne i zwierzęce, różnorodnego przemysłu rolno-spożywczego, od chłodni składowych, po zakłady przetwórcze.

Oczywiście, mówiąc o problematyce ekologicznej należy jak najmocniej podkreślić konieczność respektowania elementarnych zasad ochrony środowiska przyrodniczego, które na naszym obszarze wymaga o wiele więcej uwagi, rozsądku i troskliwości, niż gdzie indziej. Mam tu na myśli przede wszystkim sprawę wody i powietrza.

— Z tego, co Pan Profesor powiedział, wynika, że i tradycje historyczne, i warunki przyrodnicze i społeczne determinują rozwój racjonalnie określonych gałęzi przemysłu w regionie. Pytanie tylko, czy mamy w Łódzkiem wystarczającą ilość rąk do pracy, by zrealizować tak szeroko pomyślany program rozwoju gospodarczego naszego obszaru?

— Bez wątpienia. Region łódzki już od dawien dawna należy do ziem intensywnie zasiedlanych przez człowieka. W konsekwencji wytworzyła się tutaj silna koncentracja

ludności, co znajduje swój wyraz w znacznie większym wskaźniku gęstości zaludnienia, niż w innych regionach kraju. Oznacza to, że jest to region, obiektywnie biorąc, o stosunkowo dużych zasobach siły roboczej, którą tylko należy umiejętnie zorganizować i wykorzystać. Należy przy tym podkreślić fakt, na ogół mało znany, a nie ulegający wątpliwości, że pracowitość i przedsiębiorczość ludności naszego regionu, zarówno w przemyśle jak i w rolnictwie, jest znacznie większa, niż w wielu innych regionach kraju. Te walory, w nowoczesnej gospodarce, powinno się stawiać na równi z technologią i wyposażeniem technicznym. Człowiek decyduje o powodzeniu.

— Nasuwa się pytanie, jaką drogą, najkrótszą i najbardziej gładką, można dojść do zintegrowania tych wszystkich czynników i środków?

— Innymi słowy: jak przejść od teorii do praktyki? Tu też musi wkroczyć nauka. Rozwiązanie tak ważnego zagadnienia musi spocząć na barkach naukowców. Sama praktyka nie podola tak skomplikowanym problemom. Zespoły ekspertów powinny stworzyć perspektywiczną wizję optymalnego modelu gospodarczego, odpowiadającego warunkom regionalnym, ale również w pełni włączającego do całokształtu gospodarki narodowej. Władze polityczne, administracyjne i gospodarcze, korzystając z sugestii nauki, powinny z kolei systematycznie realizować zweryfikowane komponenty modelu. Chodzi o wielką sprawę, o to, by w czasie możliwie najkrótszym idea przerodziła się w rzeczywistość.

— Dziękuję za rozmowę i wyrażam nadzieję, że Pan Profesor zechce jeszcze nie raz poruszyć te żywotne sprawy regionu łódzkiego na łamach naszego pisma.

— Będę się czuł nie tylko zaszczycony, lecz także i zobowiązany, jeśli będę miał możliwość korzystać z łamów „Odgłosów” w publicznej dyskusji nad sprawami dotyczącymi nas wszystkich.

Rozmawiał:

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Muzyka

Uśmiech z Gdyni

Kiedy ostatnio pisałam o Teatrze Muzycznym, okazało się, że była podwójna: jubileusz 25-lecia teatru i premiera musicalu „Diabeł nie śpi” Sielickiego — Marianowicza — Grońskiego. O tym przedstawieniu napisałam wiele ciepłych słów pod adresem autorów, wykonawców i teatru. Ze wreszcie musical, i rodzimy, i dowcipny, i dobrze zrealizowany, i że w ogóle pogratulować. A co na to tzw. życie? Życie pokazało, że „Diabeł” publiczności nie spodobał się, a przedstawienie po prostu zrobiło kłapę. To zaś z kolei sprawiło, że dziś muszę napisać o kolejnej premierze w Teatrze Muzycznym — „Krainie uśmiechu” Franciszka Lehara. Po

nią to bowiem sięgnął teatr dla ratowania frekwencji, czyli po prostu mówiąc — kasy. Skutek był natychmiastowy. Publiczność wróciła na widownię, przedstawienie idzie przy kompletach. A mnie pozostał — smutny tym razem — obowiązek omówienia spektaklu. Wobec tego jednak, że nie zachęcałam do oglądania „Diabła”, sądzę, że nie zniechęcę do oglądania „Krainy”. Nie chodzi mi oczywiście o to, że wzięto do repertuaru starą operetkę. Teatr Muzyczny nie musi odżegnywać się od operetek, zwłaszcza firmowanych nazwiskiem takim jak Lehar — pozycji, których podstawowym walorem jest muzy-

ka melodyjna, wdzięczna, a nawet — w określonym gatunku — wartościowa. Takiej muzyki jest w „Krainie uśmiechu” nie mało. Najbardziej słabszą stroną starych operetek jest libretto. I na nim przede wszystkim trzeba się skoncentrować. Odkurzyć, unowocześnić, albo po prostu napisać nowe.

I takiego zabiegu na „Krainie uśmiechu” dokonano, nie jestem jednak pewna czy zmieniono cośkolwiek na lepsze. Program przedstawienia podaje, że autorami adaptacji libretta L. Herzer i F. Loehnera oraz tekstów piosenek są: Danuta Baduszkowa, Ryszard Marek Groński i Antoni Marianowicz. Nie mam zastrzeżeń do tekstów arii i piosenek, aczkolwiek brak im dowcipu i błyskotliwości, widać problem chińskiego nawet z epoki Su Czonga do żartów się nie nadaje. Nudne są dialogi, całkiem natomiast nieudana adaptacja. Próba uczynienia z „Krainy uśmiechu” czegoś w stylu zwanym u nas „kobra” po prostu — nie wyszła. Wątek szpiegowski, który wprowadzono do akcji jest równie naiwny i tracący myśliką jak perypetie bohaterów zaproponowane przez panów Herzera i Loehnera. Nie pamiętam też, by łódzki Teatr Muzyczny zaprezentował kiedykolwiek równie złą scenografię i choreografię. Drugi akt, rozgrywający się w pałacu księcia Su Czonga, otrzymał oprawę scenograficzną, sięgającą wyzyna złego smaku i naiwności. Scenę zapchano

nieprawdopodobną ilością pstrokatek rekwizytów, tak, że aktorzy nie mają się gdzie poruszać, nie mówiąc już o balecie, któremu nie pozostawiono miejsca do tańca. Kostiumy, w które został poprzekierany balet, dorównują złym smakom dekoracji, a może nawet jeszcze je przewyższają. Niewiele lepszego można powiedzieć o układach choreograficznych. Jest to mieszanka ludowych tańców rosyjskich, hinduskich i egipskich w stylu „jak sobie mały Kazio wyobraża...”

I tu znów pozwól sobie odwołać się do programu, który nabyłam przed przedstawieniem. Otóż reżyserem przedstawienia jest Witold Jawis, ale według inscenizacji Danuty Baduszkowej. Choreografię przygotowała Krystyna Jasman Gruszkówna, ale według układów Henryki Komorowskiej. Co to oznacza? Otóż spotykamy się tutaj — po raz pierwszy chyba — ze zjawiskiem, które w zamierzchłych czasach znane było w handlu pod nazwą sprzedaż wiązanej: kupisz „cegłę”, sprzedam ci garnek. Zjawisko to, dawno w handlu wytępione, przeniosło się jak widać w sferę kultury.

Decydując się na wystawienie „Krainy uśmiechu”, dyrektorka Teatru Muzycznego w Łodzi miała do wyboru dwie wersje: starą, tradycyjną i nową — adaptację Baduszkowej — Grońskiego — Marianowicza, która była wystawiona w Teatrze Muzycznym w Gdyni. Wybrano wersję „uno-

wocześnioną”, teoretycznie była to decyzja słuszną. Ale warunek „sprzedaży wiązanej” polegał na tym, że zażądano przeniesienia do Łodzi inscenizacji gdyńskiej w całości. Łącznie ze scenografią (Roman Bubiak) i choreografią (Henryka Komorowska), a także instrumentacją finałów i numerów baletowych (Stefan Rudko).

Jestem z całym szacunkiem dla operatywności i ambicji Teatru Muzycznego w Gdyni, który na przykład nabył sobie niepisane prawo pierwszeństwa w wystawianiu polskich pozycji lekkiej muzy. Polscy kompozytorzy wiedzą, że jeśli premiera przedstawienia nie odbędzie się w Gdyni, to Gdynia nigdy tego spektaklu nie wystawi. Ale wydaje mi się, że taka „sprzedaż wiązana” jaką zastosowano wobec „Krainy uśmiechu” jest — grzeźbienie mówiąc — przesadą. I trudno się w tej sytuacji dziwić, że łódzcy realizatorzy „Krainy uśmiechu” nie mieli do niej serca. Bo co mógł uczynić reżyser, kiedy miał narzuconą inscenizację, co mógł zrobić choreograf, kiedy miał gotowe układy taneczne. Nawet przygotowanie muzyczne (Beata Ambroz) było tym razem słabsze niż kiedykolwiek w naszym Teatrze Muzycznym.

Sądzę, że w tej scenarii nie najlepiej czuli się i soliści. W roli Lizy oglądał mi Krystynę Nyc-Wronko — jak zawsze wysoce kul-

turalną śpiewaczkę i aktorkę. Kazimiera Rymarczyk — Liza w drugiej obsadzie, albo była tego wieczoru niedysponowana, albo obniżyła wokalne ambicje zaniedbując szkolenie głosu. W roli księcia Su Czong wystąpił Edward Kamiński i Zbigniew Waloch. I tu mam już pretensje do kierownictwa artystycznego. Czy naprawdę trzeba było obsadzać partię wybitnego tenorową barytonem? Jest to przecież nie tylko przykre dla słuchaczy, ale krzywdą dla śpiewaka i jego głosu. Jako hrabia Guccio lepiej podobał mi się Jerzy Nejman niż Andrzej Fogiel, który — jak mi się wydaje — dobrze czuł się jedynie w części „hiszpańskiej”. Pełną wdzięku postać księżniczki Mi stworzyła Krystyna Jarmułówna. Małgorzata Wilk w tej roli tak się do swej starszej koleżanki upodobniła, że przeżyła nawet jej sposób mówienia i barwę głosu. Myślę, że ta debiutująca artystka musi postarać się o własny genre.

Tyle o przedstawieniu. A o publiczności? Wydało mi się, że i ona jest w jakimś stopniu rozczarowana taką właśnie wersją „Krainy uśmiechu”. I że jeśli już widownia jest uparta i niezmiennie chce tę „Krainę uśmiechu” oglądać, to trzeba ją od czasu do czasu pokazać. Tylko w takiej wersji, która mimo wszystko będzie dobry gust i smak kształtować.

TERESA WOJCIECHOWSKA

FILM

Przedmioty i ludzie

Enfant terrible europejskiego kina, Jean-Luc Godard wyjątkowo nie ma szczęścia u naszych dystrybutorów. Wielka legenda Godarda w jakimś tam momencie kazala przełamać barierę nleceń i filmy jego w dużym zresztą wyborze i z jeszcze większym opóźnieniem zaczęły się pojawiać na naszych ekranach. Przykładowo „Szalo-

nego Piotrusia” można było obejrzeć w Budapeszcie cztery lata temu, u nas — w tym roku. „Dwie lub trzy rzeczy, które wiem o niej” — to film, od którego paryskiej premiery minęło siedem lat, dziś możemy go oglądać w kinach studyjnych i DKF-ach. Godard po wypadkach majowych we Francji w 1968 roku, w których

brał czynny udział, założył radykalną grupę filmową pod nazwą „Dzika Wiertwa” (od imienia znanego radzieckiego dokumentalisty), a swą twórczość dotychczasową nazwał wówczas „okresem burżuazyjnym”. Oddał się w swej działalności publicznej i artystycznej programom kontestatorskim, w których pobrzmiewały anarchizmy, echa „Dwie lub trzy rzeczy...” to u nas najnowszy film Godarda, dla niego samego i publiczności innych krajów, to film już bardzo stary. Jeśli go nam jednak taskawie zaufowano, warto obejrzeć jako jeden z przykładów „Godardowskiej” postawy i metody twórczej.

Choć sam twórca wykreślił ten film ze swego dorobku, wydawać się może, iż „Dwie lub trzy rzeczy...” to utwór, w którym radykalizujący Godard szczególnie mocno zaatakował burżuazyjny układ społeczny. Film opart o wyniki ankiety socjologicznej przeprowadzonej w jednej z nowych dzielnic Paryża, a domyślna „ona” z tytułu filmu, to właśnie nie kolebka bohaterki, lecz owa paryska dzielnica wielkich osiedli mieszkaniowych. Bohaterka filmu Juliette, jedna z mieszkanki tej dzielnicy jest jakby naszym przewodnikiem, obser-

wacja jej życia, prezentacja myśli staje się sondażem życia w określonym układzie ekonomiczno-społecznym. Obiektem sondażu staje się w tym filmie społeczeństwo konsumpcyjne, zamknięte i wyzbyte indywidualności, m. in. przez osiągnięcie określonego standardu życia. Ludzie z nowoczesnych mieszkań w supermodernizacji dzielnic ulegają presji form „przemysłowej cywilizacji”, żyją w kuliście przedmiotów wśród fragmentów zhomogenizowanej kultury. I nie prostytucja Juliette jest tematem głównym filmu Godarda; odnosi się wrażenie, iż mowa tu jest o ogólnych formach prostytucji, które się społeczeństwa, które się sprzedaje, oddaje w niewolę, unifikuje.

Diagnozy te stawia Godard, rejestrując ulamki rzeczywistości, wśród której żyje bohaterka jego filmu — obrazy nowoczesnej metropolii, gigantycznych bloków mieszkalnych, nowoczesnych ciągów ulic, nowoczesność, która wyziera z mieszkań, sklepów, lokali, a której cechą staje się w końcu uniformizacja, reklamy, które w końcu przestają być znane, przedmioty, za którymi człowiek goni, porzucone, traci swój sens. A wśród tego wszystkiego ludzie, których Godard tropi, których myśli chce poznać, lu-

dzie, którzy też zaczynają mówić sloganami reklam, czy gazetowych treści, którzy zatracają swą indywidualność.

Godard chce być jednak wobec obserwowanych faktów uczciwy, toteż nieustannie próbuje równoważyć obiektywizm z subiektywizmem spojrzenia, komentarz przeplata dialogiem, czy monologiem, przygląda się przedmiotom sam lub każe na nie patrzeć oczyma bohaterki. Nieustannie poddaje w wątpliwość widzenia i rejestrację świata. Kontynuując swą tezę, iż film nie jest wiernym odbiciem rzeczywistości, lecz takim jej wizerunkiem, jaki powstał w myśli i wyobraźni twórcy. Stąd w „Dwóch lub trzech rzeczach...” spotykamy się z typową dla metody twórczej Godarda stylistyką „collage’u”, ulamkami rzeczywistości obiektywnej i subiektywnej, tej przez autora i bohaterów jego filmu widzianej, rozrzuconej i zmontowanej na porządek. Jeśli bowiem jakichś prawd chcemy dociekać, to szukać ich trzeba jednak w tym, co jest wokół i co jest w samych ludziach. Trzeba jednakże burzyć fasady rzeczy i pozorów, zjawisk, toteż kino „niby-realistyczne” nie dotrze, zdaniem Godarda, nigdy do owych

prawd. Rzeczywistość wyłoni się wówczas, gdy postawi się ją w związkach nieoczywistych, tych, które zrodzą się w wyobraźni i świadomości twórcy. Nie proponuje więc Godard kina tradycyjnego, szokuje nas swą stylistyką, swym sposobem kreowania filmowego świata. Z tych ulamków rzeczywistości, „collage’owa” metoda powołanych do nowego życia wyłania się, przynajmniej trzeba, obraz świata mocny w znaczeniach wtedy, gdy Godard próbuje rozszyfrować funkcjonowanie świata rzeczy i zewnętrzne działania człowieka. Słabszy jest wtedy, gdy próbuje sondować psychologię. Wynika to chyba z faktu, iż Godard demistyfikuje w jednych sytuacjach pustkę słów, w innych każe w nie wierzyć. Jeśli o wnętrzu człowieka ma mówić jego dziełami i jego słowami, to Godard nie wszystko o swych bohaterach wie, ale sam mówił tylko o „dwóch lub trzech rzeczach...”.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

Łódzki magazyn kulturalny

Po obejrzeniu ostatniego łódzkiego magazynu kulturalnego, zachęcony apelem red. H. Rumowskiej, a nadsyłanie swoich uwag o programie, czynię to ochotczo, gdyż nie tylko o sam program mi chodzi.

Pomysł zaproszenia do studia ludzi znających się na rzeczy, obejrzenie filmowego felietonu i rozmowa na ten temat, nie jest czymś rewelacyjnym odkrywczym. Ale bądźmy sprawiedliwi, coż tu nowego można wymyślić? Dla mnie rzecz najważniejsza jest o czym się mówi i z jakich pozycji. I tu zaraz, choć to nie w dobrym tonie, chciałbym red. Rumowską i trojkę jej rozmówców — Andrzeja Hampła, Mirosława Kuźniaka i Marka Wawrzkiwicza — pochwalić. Magazyn emitowany był w programie ogólnopolskim, a mimo to, nie zasługiwano nam laurówowej wizytówki kultury Łodzi, lecz rzeczowe, krytyczne uwagi o stanie faktycznym. O estra-

dzie, funkcjonowaniu kin w śródmieściu i na peryferiach miasta, o plastyce i życiu muzycznym. Wszyscy mamy już trochę dość słownego kolowrotu o zaniedbaniach i marnym traktowaniu naszego miasta. To oczywiście prawda, ale wiele przyczyn tego „jak jest” tkwiło wewnątrz środowisk twórczych jak również w tej sferze działalności, które umownie nazywamy upowszechnianiem kultury.

Podobały mi się wstrzeżenia i uwagi pod adresem Łódzkiej Estrady. To co zobaczyliśmy z „przeszłości” i to co jest w próbach, nie może napawać optymizmem. Próba jest tylko oczywiście próbą, a w dodatku widzieliśmy z niej migawkę. Ale już to może wystarczyć na sygnał ostrzegawczy. Słyszeliśmy o zmianach kadrowych w Estradzie. Zmiany kadrowe, i to dość zasadnicze, jakie miały ostatnio miejsce w kulturze łódzkiej, na pewno spełniają swój cel, ale nie mogą być pana-

ceum na wszystkie dotychczasowe słabości i niepowodzenia. W Estradzie, wg mnie, trzeba nie tylko zmienić odpowiedzialnych ludzi, ale również klimat wśród autorów, wykonawców i pośredników. Specjalnie akcentuję problem działalności estradowej, bo zawsze była ona formą chałtury, złego gustu, lańwizny, a w sumie pseudokultury. A z drugiej strony wiemy, że tego rodzaju działalność nie potrzebuje specjalnej reklamy — ludzie to nadal w dobrej wierze kupują. To znaczy, ludzie oglądają ochotczo, a organizatorzy i dysponenti środków, hojnie potraszają kieszę. Najgorzej przy tym złem nie jest ani jedno, ani drugie, lecz fakt, że tam gdzie akceptuje się chałturę, traci się jednocześnie szansę na autentyczną działalność kulturalną. Chałtura nie tylko psuje gust odbiorców, nie działa obok, ale zamyka i to znaczy wypiera te wartości o upowszechnienie jakichś wszystkich zabiegamy.

Inny problem to kina. Łączy się ta sprawa ze starymi dyskusjami o modelu współczesnej percepcji kultury. Opościamy się za modelem poliocentrycznym. Kina peryferyjne stojące pustkami przy jednocześnie przepelnionych salach w śródmieściu mogą świadczyć, że to tylko teoria, niepotwierdzona przez życie. I tu bym się z biorącymi udział w dyskusji nie zgodził. Sprawa nie jest tak prosta,

Badania na pewno wszystkich nie wyjaśnia, ale jest chyba w pierwszym rzędzie zadanie dla socjologów. Pokazanie przyczyn istniejącego stanu rzeczy. Osobiście przypuszczam, nie wystarczy decentralizować działalności kulturalnej ale w parze z tym musi następować autentyczny wzrost zapotrzebowania na kulturę, poziomu umysłowego społeczeństwa i jego potrzeb duchowych.

Podobało mi się, że obecni w studio nie zgodzili się z autorką felietonu, Ewą Nagurską. Rejestracja pewnych zjawisk, to jeszcze nie odpowiedź na pytanie, mimo dość jednoznacznych sugestii. Jest to sprawa szersza i w przyszłości warto by do niej wrócić.

I sprawa trzecia, popularyzacja plastyki. Nie lubię stawiania kropki nad „i”, ale w ostatnio obserwowanych przeze mnie dyskusjach na ten temat, nigdy nie mogłem uchwycić całościowej oceny obecnego stanu. Mówi się, że jest źle, ale... Albo mówi się nam, że jest niejałgorzej, ale... Przysłuchując się telewizyjnej dyskusji znowu popadłem w stan doskonałej niewiedzy.

Myślę, że tak przedstawiony program, mógłby z powodzeniem być kontynuowany już jako program lokalny, na temat naszych wyłączonej spraw. Ze swej strony sugerowałbym przyjęcie koncepcji szerokiego

przedyskutowania przed kamerami TV najważniejszych kolejnych elementów naszego życia kulturalnego z udziałem twórców, krytyków, organizatorów i działaczy. Mógłby

taki program cyklicznie spełniać rolę przysłówowego kija w mrowisku, a w konsekwencji rzutować na odcienne wyśiki i poczynania „ludzi od kultury”.

Polityka i sport

Wprowadzony w miejsce „Światowida” nowy program „Świat i Polska” wyraźnie dystansuje swego poprzednika i ma szansę w telewizyjnej publiczności stać się pozycją naprawdę znaczącą. Do takiego optymistycznego wniosku doszedłem po obejrzeniu ostatniego programu pn. „Sport a polityka”. Jak rzadko na ekranie TV, mogliśmy być świadkami autentycznej dyskusji, więcej nawet, prawdziwego sporu ludzi, którzy mają coś do powiedzenia, i swej opinii publicznie, z pasją bronią. Jest to budujący przykład, że można nawet najbardziej kontrowersyjne dyskusje przetransmitować na forum publicznym.

Zasługa to w pierwszym rzędzie dr Mieczysława F. Rakowskiego, naczelnego redaktora „Polityki”, który program „Świat i Polska” przygotowuje i prowadzi. Rakowski umie dobrać ciekawych ludzi,

wybierając ich z szerokiego kręgu i nie mniej ważne, pozwala im się swobodnie wypowiedzieć. Taka pochwała może dziwnie brzmieć, ale przypomnijmy sobie w ilu to wypadkach prezenter w podobnych sytuacjach chce być najeżdżany, stara się zabylić na tle spieszonych i mniej pewnych siebie gości zaproszonych do studia, przeszkadza często nie najmiędszymi pytaniami. Pod tym względem red. Rakowski może być wzorem taktu, cierpliwości i umiejętnego kierowania dyskusją. I chociaż z uczestnikami ostatniego „spotkania” M. Wierzyński, W. Duński, doc. Młodzikowski i W. Zabłocki można by się z każdym oddzielnie pospieszać — w sumie, przysłuchując się ich wypowiedziom, trudno się było wyzwolić od uczucia satysfakcji.

JAROSŁAW TARNO

SPORT

NIE JEDEN ŁKS

Rozmawiając ostatnio ze specjalistami od piłki nożnej, usłyszałam dość znajome zdanie: w Łodzi zawsze będzie się liczyć tylko drużyna piłkarska ŁKS. Taka już jest tradycja, żeby nawet ŁKS spadł do trzeciej ligi, to i tak będzie miał swoich zagorzałych kibiców.

Jest to bezspornie prawda, chociaż nie jestem pewna, czy trzeba się na nią godzić bez żadnych zastrzeżeń. Mam wiele szacunku dla lokalnego patriotyzmu kibiców, ale nie

można na tym tylko opierać politykę władz sportowych miasta. Mamy przecież od niedawna drużynę, która zasługuje na podobne zainteresowanie i pomoc, jaką cieszy się drużyna ŁKS. Mam oczywiście na myśli jedenastkę RTS „Widzew”, która w tym sezonie nie tylko awansowała do II ligi, ale przez pewien czas była prawdziwą rewelacją, zajmując w tabeli najwyższą lokatę. I chociaż malkontenci mogą wypomnieć „Widzewowi” ostatnie porażki, w niczym to nie

zmieni tego faktu, ani nie pomniejszy jego znaczenia.

RTS „Widzew” jest jednym z najstarszych klubów sportowych w Polsce. Jest najstarszym klubem robotniczym w Łodzi. W tej chwili jest jedyną, obok ŁKS, drużyną, która reprezentuje łódzką piłkę nożną na boiskach krajowych pierwszej i drugiej ligi. Mimo to wszystko, drużynę „Widzewa” nie traktuje się tak, jak zespół, który reprezentuje miasto, traktuje się go jak reprezentację dzielnicy. Swoistą wymowę ma dla mnie fakt, że przy powiększaniu boiska „Widzewa” do przywoitych wymiarów, pracowali społecznie „działacze różnego wieku do rencistów włącznie”. Ta spontaniczna inicjatywa cieszyła się poparciem władz i społeczeństwa dzielnicy. Jakoś nie doszły mnie słuchy, aby zainteresowały się nią władze sportowe miasta.

Znamienna jest również dla mnie wypowiedź trene-

ra widzewskiej jedenastki — L. Jezierskiego, który przed otwarciem sezonu piłkarskiego powiedział:

— Wydaje mi się, że współpraca z mgr St. Stachurą (od nowego sezonu piłkarskiego jest to koordynator Klubu i wspólnie z L. Jezierskim prowadzi drużynę — przyp. B. M.) da jak najlepsze efekty. Nie będzie ich jednak, jeżeli łódzkie władze sportowe nam nie pomogą. Chodzi o załatwienie spraw personalnych 3 zawodników: Dąbrowskiego, Drozdowskiego i Adamusa. Ich gra jest warunkiem powodzenia naszej drużyny w II lidze.

Nie jest to jednak jedyna forma pomocy, jakiej potrzeba „Widzewowi”. Klub chciałby uruchomić dla potrzeb szkoleniowych boczne boisko przy ul. Niciarnianej, wybudować tam pawilon z szatniami i natryskami. Ale tu już nie może liczyć na społeczną inicjatywę. W tej sprawie potrzeba bowiem konkretnej de-

cyzji łódzkich władz sportowych. Tym bardziej, że pawilon z szatniami i natryskami — to przecież nie wygórowane żądania, a dla klubu sportowego — rzecz niezbędna. Mimo, że od początku sezonu upłynęło już sporo czasu, nie załatwiono również spraw personalnych, tak istotnych dla jedenastki „Widzewa”. A przypomnę, że ostatnio z łódzkiego okręgu piłkarskiego odeszło do innych drużyn w Polsce kilku nienajgorszych piłkarzy.

Nie chcę twierdzić, że przyjsię trzech nowych zawodników do łódzkiej drużyny „Widzewa” definitywnie rozwiąże jej kłopoty. Zawsze uważam, że trzeba liczyć przede wszystkim na własnych wychowanków. Ale zastanówmy się jednak nad aktualną sytuacją w łódzkiej piłce nożnej. Mamy w I lidze ŁKS, o którego losy w dalszym ciągu nie możemy być spokojni. W II lidze mamy już tylko „Widzew” i nic nie wskazu-

je na to, że w najbliższym czasie inny zespół z naszego okręgu awansuje do tej ligi. Wniosek jest prosty — mamy w Łodzi dwie drużyny piłkarskie, o które powinniśmy udzielać wszechstronnej pomocy.

A jeśli chodzi o kibiców? Nie mam zamiaru ich namawiać, żeby nagle zmienili swoje sympatie i przestali chodzić na mecze ŁKS. Stadion „Widzewa” i tak może pomieścić najwyżej 9.000 osób. I nie ma sztucznego oświetlenia. Ale trochę więcej serca, sympatii i zainteresowania przydałoby się również jedenastce „Widzewa”. Ja tam w każdym razie trzymam za nich kciuki. I nawet, jeśli pod koniec sezonu znajdą się tylko w środku tabeli, to przed tą młodą i ambitną drużyną jest — mam optymistyczne przekonanie — jeszcze cała przyszłość.

BOGDA MADEJ

Kłopoty profesora z poetami

Pewien Profesor z Krakowa wysłał w Polskę dramatyczny apel: „Kto znał tych poetów?” Apel ukazał się w masowym nakładzie, bowiem opublikował go „Przekrój”. Na szczęście w rubryce „Od i do redakcji”, więc Przekrój za treść tej zgadują-zgaduli nie bierze odpowiedzialności.

Pytania były bowiem zdumiewające. Oto pierwsze,

„Henryk Domański (ur. 1913 w Lublinie), jeden z pierwszych bohaterów powieści Z. Unilowskiego „Wspólny pokój”...

Święci Państwo! Profesor dotąd zajmował się terminologią literacką, nie więc dziwnego, że nie jest mocny w bohemistyce, ale jak może uczyć z Krakowa strzelac takie byki! Henryk Domański nigdy nie był człon-

kiem „Kwadręgi”, należał do kregu „czechowiczowskiego” — ze „Wspólnym pokojem” Unilowskiego nie go nie tańczyło.

Wystarczyło zamówić rozmowę między miastami z Warszawy, że Stanisławem Ryszardem Dobrowolskim, aby dowiedzieć się co nieco na temat prawdziwych mieszkańców „wspólnego pokoju”. Profesor z Krakowa po prostu nie wie, że były... dwa „wspólne pokoje” poetyckie w międzywojennej Warszawie.

Pierwszy opisany przez Unilowskiego nie ma nic wspólnego z drugim tzw. „Pokojem na Dobrej”, w którym mieszkali poeci: Henryk Domański, Józef Łobodowski, B. L. Michalski, Wacław Mroczowski i Stanisław Pięta. Śladów Domańskiego szukać trzeba na Do-

brej. Nie jest, rzecz prosta, „czechowiczowska szkoła poetycka” tak znana, jak owiany legendą powieści Unilowskiego pokój, wynajmowany przez matkę St. R. Dobrowolskiego, ale... W różnych pracach wspomnieniowych „Pokój na Dobrej” lub „Wspólny pokój na Powiślu” występuje niejednokrotnie i jest dość szeroko znany wśród ludzi zajmujących się historią literatury dwudziestolecia międzywojennego.

Henryk Domański przez czas jakiś pracował w redakcji „Legionu Młodych”. Jak żył, co robił, gdzie drukował, nawet teksty nieznanymi wierszami znajduje Profesor w książce Wacława Mroczowskiego „Cyganeria”, wydanej w Lublinie w roku 1963. Nawiasem mówiąc — dość głośnej książce.

Dziwne jest także drugie pytanie Profesora: „Artur Rzeczyca (pseudonim literacki), nazwisko nieznane...”

Alż, wręcz przeciwnie — nazwisko Rzeczycy nie jest tajemnicą. Nazywał się Abram Buksbaum. Miał wstąpić na uniwersytet, ale pochłonięta go poezja. Tomu żadnego nie wydał, pisał zresztą bardzo niewiele, tłumaczył natomiast z niemieckiego. Znał się także jego tłumaczenie „preludium” Czechowicza na niemiecki. Nieliczne wiersze Rzeczycy znaleźć można w „Tygodniku Ilustrowanym”. Ponieważ bliskie były jego kontakty z Józefem Czechowiczem, zapewne jakieś wiersze Rzeczycy znaleźć można także na łamach „Miesięcznika Literatury i Sztuki” oraz „Pióra”, redagowanych przez Czechowicza w latach

1934-36 i 1938-39. Buksbaumowie mieszkali w Przemysku, tam też zginął w getcie Artur. Może jednak źródło jego literackiego pseudonimu należałoby szukać w miasteczku Rzeczyca nad rzeką o tej samej nazwie, nieopodal Homla.

„Prowadzę badania nad literaturą polską z okresu II wojny światowej” — napisał Profesor w apelu do czytelników „Przekroju”. To go usprawiedliwia, może bowiem o dwudziestolecie międzywojennym wiedzieć mniej, niż przeciętny polski pisarz. Cudowna cecha naszej polonistyki, zajmującej się literaturą tak wycinkowo, że byłoby najwygodniej, aby pisarze rozdzielili się i umierali ściśle w granicach historycznych badań.

JERZY WILMAŃSKI

Opowieści nie tylko fantastyczne

W Stonehenge — między Kornwalią a Walią — znajduje się kromlech — megalityczna budowla z wielkich głazów. Megalitami nazywa się budowle z wielkich głazów, które stawiano bez użycia zaprawy. Taki megalit znajduje się w Stonehenge, a pierwsza wzmianka o nim pochodzi z „Kroniki Królów Bretońskich”, którą napisał w 1164 roku, ale wzmianka dotyczy wydarzeń z V wieku naszej ery. I już wtedy kromlech w Stonehenge był zagadką.

Naukowcy zainteresowali się tą budowlą dopiero w 1801 roku. Usiłowali oni odpowiedzieć na pytanie: kto i po co ustawił w koło wielkie kamienne bloki? I to w miejscu, gdzie w pobliżu nie ma kamieniołomów. Dopiero współczesny badacz — Gerald S. Hawkins, posługując się komputerem „Oskar”, znalazł odpowiedź na pytanie: po co? Nadal nie wiadomo — kto?

Kiedy G. S. Hawkins zwiadał kromlech, przewodnik opowiedział mu, że jeśli 22 czerwca o świcie stanąć w środku kromlechu, to w jednym z otworów widać wschodzące słońce. Dalsze badania ustaliły, że kromlech ze Stonehenge służy do... astronomicznych obserwacji. Przy jego pomocy można ustalać wszystkie pozycje Słońca i Księżyca oraz przewidywać daty ich zaćmień.

Nie jest to jednak jedyne kamienne obserwatorium astronomiczne, postawione w zamierzchłych wiekach. Podobne, choć inaczej zbudowane, odkryli na Wyspach Wielkanocnych członkowie wyprawy Thora Heyerdahla. Na szczycie góry Orongo odkryli mur z wyrzeźbioną głową śmiejącego się boga. W

murze tym były też wyrzeźbione liczne oczy ludzkie. Ale badacz zainteresowały otwory regularnie rozmieszczone. Blizsze badania pokazały, że umiejętnie posługując się otworami, można dokonywać skomplikowanych obserwacji Słońca i Księżyca.

Kto zbudował astronomiczne obserwatorium na szczycie góry Orongo? Zdaniem Thora Heyerdahla uczynili to przybysze z Ameryki Południowej. Badając ogromne posągi, jakie pozostawili dawni mieszkańcy Wysp Wielkanocnych, stwierdził on podobieństwo do posągów i rzeźb pozostawionych przez dawnych i nieznanych mieszkańców okolic jeziora Titicaca.

Jezioro Titicaca znajduje się w Andach, na wysokości prawie 4 tys. metrów nad poziomem morza. W odległości 20 km od jeziora znajdują się ruiny miasta Tiahuanaco. Niektórzy skłonni są uważać, że miasto to było najstarszym na kuli ziemskiej.

„Lud ten pojawił się nagle, jakby z innej planety — napisał w „Krolestwie złotych leż” Zenon Kosidowski — i nagle też zginął bez echa w mrokach przeszłości”.

Lud ten jednak nie zginął tak całkowicie bez śladów. Jak głoszą legendy ludzkie, znad jeziora Titicaca byli biali i brodati. Hiszpańscy zdobywcy Ameryki Południowej zauważyli, że wśród elementów Indian zdarzali się ludzie o jasnej skórze i wyróżniający się zarostem. Również na Wyspach Wielkanocnych część mieszkańców wyraźnie oddzielała od Polinezyjczyków. Czy byli to potomkowie tajemniczego ludu znad jeziora Titicaca?

Lud ten pozostawił po sobie

również inne ślady. Wśród ruin Tiahuanaco stoi od wieków słynna „Brama Słońca”. Wyciosano ją z jednego bloku kamiennego i ozdobiono pasami tajemniczych znaków. Przez długi czas myślno, że są to jakieś znaki magiczne. Dopiero w 1937 roku dwaj uczeni niemieccy: Artur Posnansky i Edmund Kiss udowodnili, że jest to... kalendarz.

każdym miesiącu było tylko 24 dni. W roku dodawano 2 dni wyrównujące, co w rodzaju naszego 29 lutego. Do końca tego kalendarza liczyła 30,32 godziny. W kalendarzu tym oznaczono też zaćmieńcia Słońca. I tu dopiero sensacja. W ciągu 24 dni wypadało aż 19 zaćmień Słońca.

Zagadkę tę spróbowano wy-

rzystać z jego uprzedniej hipotezy. Otóż inż. Hans Heorbigier stwierdził nie mniej nie więcej, tylko to, że Ziemia przed dziesięcioma tysiącami laty miała innego... satelitę. Był on znacznie większy i krążył znacznie bliżej Ziemi. Satelita ten rozzerwał się, a po jakimś czasie Ziemia ściągnęła go do kosmosu małą planetę, która zmierzła do nieuchronnego rozbicia się na Słońcu. To „porwanie Księżyca” nastąpiło przed 11 tysiącami lat.

Czy istotnie tak było? — trudno dziś na to pytanie odpowiedzieć. Faktem jest natomiast, że większość tajemniczych budowli, jakie pozostawili po sobie dawni mieszkańcy Ziemi wiąże się z astronomią. Nawet egipskie piramidy.

W jednym z zachowanych papirusów znajduje się następujące stwierdzenie:

„Budujemy dla niego (faraona — K. P.) schody, aby mógł wpaść do nieba”.

Czy było to niebo w naszym, tradycyjnym rozumieniu, gdzie przebywają dusze ludzi zmarłych? Czy może był to już tylko ślad jakichś dawnych przekazów o przybyciu ludzi z nieba, gdzie też mieli powrócić. W każdym razie po bliższym zbadaniu piramidy Cheopsa okazało się, że z jednego korytarza, który wiedzie w głąb grobowca faraona, można obserwować jedną z gwiazd gwiazdozbioru Smoka — Alfę Draconis, która w roku 2592 p.n.e. była Gwiazdą Polarną. Odkrycia tego nie można jednak uważać za przypadkowe.

Piramidy egipskie budowano według pewnych zasad, które po bliższym zbadaniu okazały się podstawowymi danymi... astronomicznymi. I tak

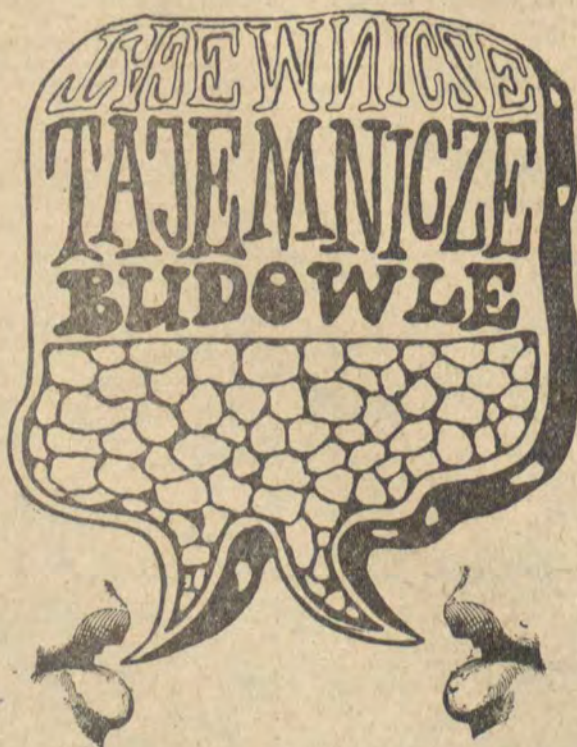
np. wysokość piramidy Cheopsa jest miliard razy mniejsza od odległości Ziemi, od Słońca i wynosi — wg obliczeń Piazzi Smytha — 147,8 m.

Szczegółowe badania wymiarów piramid ujawniły jeszcze wiele innych sensacyjnych danych. Np. długość obwodu piramidy podzielona przez podwójną wysokość dała wynik — 3,14159, to jest liczbę „pi”. Liczbę tę z dokładnością do 35 miejsc po przecinku obliczył dopiero w XVI wieku matematyk Ludolf van Ceulen. I jeszcze jedna sensacja. Przy budowie piramidy posługiwano się „metrem piramidnym”, równym 636,66 mm. Przy bliższych badaniach okazało się, że „metr piramidny” jest jedną dziesięciomilionową częścią promienia Ziemi, mierzonego od bieguna.

Niektórzy skłonni są uważać, że te wszystkie odkrycia są tylko przypadkowe. Jednak nikt nie kwestionuje prawdziwości tych obliczeń. Nikt też nie wyjaśnił dlaczego starożytni Egipcjanie budowali grobowce faraonów według takich właśnie zasad. Przy czym piramidy budowano nie tylko w Egipcie. Budowali je Sumerowie, budowali Indianie w Południowej Ameryce. Czy to też tylko przypadkowa zbieżność?

Ludzie zajmujący się badaniami śladów zaginionej Atlantyd, skłonni są uważać, że umiejętność budowania piramid posiadali mieszkańcy tej wyspy i oni — podróżując po ówczesnym świecie — uczyli tej sztuki innych. Choć w różnych rejonach kuli ziemskiej piramidy służyły nie zawsze takim samym celom.

KRZYSZTOF PORĘBSKI



Był to jednak dziwny kalendarz. Dzielił on rok na 290 dni. Tylko ilość miesięcy była podobna do dzisiejszej i wynosiła 12. Natomiast w

jaśnić w oparciu o teorię inż. Hansa Heorbigera. Umarł on w 1931 roku, a więc nie znalazł odkrycia Artura Posnanskiego i Edmunda Kissa. To oni sko-

POLITYKA na świecie

MARZENIA PREZYDENTA

„EPOCA” — MEDIOLAN

Jak wykazały badania opinii publicznej, przeprowadzone w końcu 1971 roku, 62 proc. Francuzów, bez mała dwie trzecie, popiera rządy prezydenta Pompidou. Jest to tym bardziej interesujące, iż w pierwszej turze wyborów prezydenckich w 1969 roku, tylko 44,5 proc. Francuzów głosowało na Pompidou. A przecież władza we Francji wywiera za-
zwyczaj „ujemny wpływ” na prestiż ludzi, którzy ją sprawują.

Jak więc dokonał tego Pompidou, że w niecałe trzy lata zdobył aż tak wielką popularność? Wielu ludzi we Francji żywiło obawy, że ten wykładawca literatury w Owerńi, który następnie przedzierzgnął się w bankiera i wyrósł w cieniu de Gaulle’a, nigdy nie zdoła zapełnić pustki, którą pozostawił po sobie generał i że nigdy nie przekształci się w jego „mniejsze wydanie”. Ale Pompidou bardzo zręcznie uniknął wszelkich sugestii do porównań. Od samego początku podkreślał takie swoje rysy, które są typowe dla przeciętnego Francuza: inteligencję, zręczność, praktycyzm, prze-

zorność, realizm. Ponadto Pompidou zapewnił Francuzom to, czego sobie zawsze w głębi duszy życzyli po smutnych doświadczeniach IV Republiki: ustabilizowaną i sprawnie funkcjonującą rząd.

Dziś wpływy Pałacu Elizejskiego są nawet większe, niż w czasach de Gaulle’a. Dzięki swemu długoletniemu doświadczeniu na stanowisku prezesa rady ministrów, nieprzeciętnym uzdolnieniom i umiejętności szybkiego wyławiania treści problemów, Pompidou bez przeszkód dominuje na posiedzeniach rady ministrów. „Nikt, oprócz niego, nie zna dokumentów państwowych tak doskonale” — mówią o nim w Pałacu Elizejskim.

Ambitne zamierzenia

Pompidou nie hołduje wielkim zamysłom politycznym i socjalnym. Zamiast szerokości reform, wymagających nie kończących się wstępnych debat i częstokroć trudnych do oceny w całej rozciągłości, wolł on konkretne działania w ograniczonej skali, ale takie,

które można przeprowadzić szybko i z powodzeniem. Zresztą i Pompidou ma swoje marzenie. „Jedno, co naprawdę rozpala we mnie ambicję — powiedział rok temu do jednego ze swych przyjaciół — to wizja przekształcenia Francji, w przeciągu siedmiu lat mojej władzy, w nowoczesny kraj przemysłowy”.

W tym jednym zdaniu mieści się cały charakter tego człowieka. Dokładnie tak samo jak de Gaulle, Pompidou pieści ambitne plany, służące przyszłości kraju. On także ma nadzieję, że uczyni z Francji kraj przodujący w Europie. Jednakże w odróżnieniu od generała, jeszcze w okresie pełnienia funkcji premiera, przekonał się, że broń, którą dysponuje dla osiągnięcia tego celu, już nieco zarzęwiała. Trzy badania, przeprowadzone na jego polecenie w latach sześćdziesiątych, odebrały mu ostatnie iluzje. Na przykład „referat Mongeata” o sytuacji w prywatnym sektorze przemysłu formułował wnioski, że Francja jest najsłabszym krajem „szóstki”, gdyż potencjał większości tych przedsiębiorstw przemysłowych jest zbyt mały, metody zarządzania przestarzałe, poziom dochodów niski, a środki przeznaczone na badania naukowe oraz sposób myślenia przedsiębiorców, i cała reszta, znajdują się na przedpotopowym poziomie.

Z kolei „referat Norre’a” o przemyśle państwowym wykazał niską dochodowość, złe ustawienie aparatu administracyjnego w sektorze ogólnopaństwowym i zalecał całą serię radykalnych reform strukturalnych w celu usunięcia deficytu w przemyśle państwowym. Referat o sytuacji w gospodarce rolnej też zawierał wcale nie różowe oceny. Przez długie miesiące te trzy dokumenty spoczywały na samym spodzie szuflady, ponieważ nikt, a w tej liczbie i Pompidou, nie uważał za możliwe wzbudzić w de Gaulle’u zainteresowania dla tego rodzaju dokumentów. Dziś leżą one na biurku i chociaż nie stymulują jakiegoś gwałtownego działania, to jednak są przedmiotem na-

wagi i systematycznych zabiegów, które, być może za kilka lat zmienią oblicze kraju.

Pozytywne zmiany

Wiele się już zmieniło w porównaniu z sierpniem 1969 roku, kiedy to Francja, tonąc w powodzi zagranicznych towarów i nie mogąc zwinąć końca z końcem, musiała przeprowadzić dewaluację franka. Operacje, zmierzające do fuzji szeregu kompanii pod kontrolą wielkich banków (z którymi Pompidou utrzymuje ściśle kontakty), zapoczątkowały proces racjonalizacji francuskiego przemysłu. Sprzyjało to powstawaniu pewnych awangardowych sektorów produkcji, które już obecnie wnoszą istotny wkład w rozszerzenie eksportu francuskiego.

W 1971 roku francuska ekonomika rozwijała się szybciej, niż ekonomika wszystkich pozostałych u przemysłowych krajów zachodnich (+5,3 proc., to jest więcej nawet, niż w Japonii). Po kilku niepomyślnych latach, bilans płatniczy zamknięto z zadowalającym saldem aktywnym. Ceny, w odróżnieniu od roku ubiegłego, rosły nie szybciej, niż w innych krajach zachodnich. „Trzy lata temu — powiedział mi pewien specjalista z zakresu organizacji pracy — nikt by nie uwierzył, że nasz stary, ostrożny i skąpy patron (tak nazywa się we Francji prywatnego przedsiębiorcę), nieomal bez protestów, zgodził się na innowacje, które narzucał mu obecny rząd. Jednakże przedsiębiorcy zdają sobie sprawę, że Pompidou jest dla nich „swój” i że celem jego posunięć jest nie niszczenie, lecz ratowanie społeczeństwa kapitalistycznego. Gdyby wysunęli te propozycje socjaliści, byłoby one na pewno poddane anatemi. A tak prawie nie natrawili na sprzeciw”.

Na tym względnie czystym niebie nie brak oczywiście i małych chmur. Inwestycje utknęły w miejscu i wszyscy eksperci przewidują, iż wyniki 1972 roku będą dużo mniej efektyw-

ne, niż w roku ubiegłym. Przy nowych wymiennych kursach, francuski eksport nie będzie już miał tak pomyślnych warunków rozwoju, jak w końcu 1971 roku. Liczba bezrobotnych przewyższa pół miliona, a wśród nich jest sporo młodych ludzi, posiadających określone kwalifikacje zawodowe. Wszyscy oni kołają do drzwi i mogą się okazać materiałem wybuchowym. Mimo stworzenia Instytutu Rozwoju Przemysłu, którego funkcja polega na udostępnianiu kapitałów państwowych i udzielaniu pomocy technicznej najbardziej opóźnionym sektorom przemysłu prywatnego, posiada on nadal jeszcze wiele „stref słabo rozwiniętych”, które w konsekwencji mogą się okazać dużym obciążeniem dla francuskiej ekonomiki.

Słabe punkty

„Wielką niewiadomą” we francuskim równaniu jest kwestia, w jakim stopniu uda się prezydentowi Pompidou utrzymać jedność w ruchu gaullistowskim.

Tak zwana Unia Demokratów na rzecz Republiki — UDR, (l’Union des Democratres pour la Republique) zawsze była zlepkiem bardzo różnych ludzi i tendencji, i niebezpieczeństwo ruchów odródkowych istniało w niej nawet za życia gen. de Gaulle’a. Wydaje się jednak, że — mimo starych i nowych trudności UDR jest dziś niewiele słabsza, niż w 1969 roku. Na ostatnim kongresie UDR w Strassburgu, większość delegatów głosowała przeciwko wyborowi przewodniczącego partii, nie chcąc kreować potencjalnego rywala Pompidou. Przeciwnie, postanowiono umocnić pełnomocnictwa generalnego sekretarza UDR. Zlecono mu także umocnienie aparatu partyjnego w przewidywanym wyborach parlamentarnych w 1973 roku i prezydenckich w 1976 roku.

Słabym punktem ruchu gaullistowskiego jest brak jakiegś wyraźnego sprecyzowania ideologii. W zasadzie, jedność UDR wspiera się na konserwatywnych poglą-

dach francuskiej „klasy średniej” i dążeniu jej przywódców — wielkich, średnich i małych — do utrzymania władzy.

„UDR przetrwa dopóty, dopóki w pamięci Francuzów pozostanie żalostne wspomnienie o IV Republice” — powiedział mi pewien koneser życia politycznego we Francji.

A potem?

Najprawdopodobniej, celem, do którego dąży Pompidou, jest przyciągnięcie do ruchu gaullistowskiego wszystkich młodych technokratów, którzy teraz wchodzi na scenę życia gospodarczego. Poza tym dąży on do oparcia się na możliwie najszerszym wachlarzu różnych grup społecznych, rozdzielając w tym celu, gdy tylko podpowie mu to intuicja, ulgi i przywileje.

W Zgromadzeniu Narodowym, wybranym w maju 1968 roku, UDR dysponuje absolutną większością i — teoretycznie rzecz biorąc — nawet nie potrzebuje poparcia swoich sojuszników: grupy Republikanów Niezależnych i centrystów. Nikt nie ma iluzji, że w przyszłym roku UDR nie utrzyma swego stanu posiadania w konfrontacji ze zgodną koalicją komunistów i socjalistów.

Wiele mandatów poselskich zdobyli gaulliści w 1968 roku, mając tylko znikomą przewagę, której dziś z pewnością już nie mają. Reputacji UDR — zaskodzone przez liczne skandale polityczno-finance, które ujawniły, z jaką łatwością bogactwo się „przyjaciele reżimu”. Szczególnie na prowincji. Chociaż Pompidou, uprzedzając wydarzenia, oświadczył już, że prezydencka większość wcale nie musi się zbiegać z większością parlamentarną, wielu ludzi przypuszcza, iż rządząca obecnie koalicja straci jednak na wyborach około 70-80 mandatów.

W najbliższej przyszłości, dzięki swojej silnej pozycji, z gwarancją na dalsze cztery lata, Pompidou będzie wywierać znaczny wpływ na losy kontynentu.

J. CZECH

KULTURA na świecie

„Milczenie morza” PO LATACH TRZYDZIESTU

W latach ostatniej wojny we Francji, zaczęła się ukazywać konspiracyjnie seria książek „Editions de Minuit” (Wydawnictwa Północy). Były to białe oprawione, niewielkie tomiki. Na każdym z nich widniał napis: „Wydane w czasie okupacji nakładem literatów-patriotów”. Ten niepozorny napis znaczył wiele. Dla każdego Francuza było jasne, że autor, który napisał książkę wydaną następnie w „Editions de Minuit” jest związany z organizacją Ruchu Oporu. Książeczki tego wydawnictwa ze względu na wymogi konspiracji nie były podpisywane nazwiskami autorów lecz ich pseudonimami.

W tej właśnie serii ukazał się niewielki utwór pt. „Milczenie morza”, Vercorsa. Jak brzmia-



Vercors

to prawdziwe nazwisko autora? Kim był? Dziś już dobrze wie-

my, kto krył się za tym pseudonimem, zapożyczonym od nazwy wapiennego masywu górskiego w Alpach Zachodnich, między Isère a Drôme we Francji. „Milczenie morza”, dzieło literackiego debiutanta, stało się potem jednym z najbardziej znanych dzieł pisarza podpisującego się niezmienne: Vercors. Zostało przetłumaczone na dwadzieścia pięć języków, stało się jednym z najbardziej poczytnych utworów literatury światowej.

Oto prosta sceneria tej krótkiej powieści. Pokój w starym domu z ciosanego kamienia. Stare sprzęty, biblioteka. Niemiecki oficer Werner von Ebrencac, który mówi i dwójce ludzi: starszy mężczyzna i dziewczyna, którzy nie mówią nic. Milczą.

„Milczenie morza” — wstrząsająca opowieść Vercorsa z czasów okupacji, nie była jedynym dziełem autora na ten temat. A jego nazwisko było tajemnicą, jedną z najbardziej strzeżonych w czasie wojny — powie potem Aragon. Któż to był tym Vercorem? Okazało się potem, ku zdziwieniu wielu, że autor „Milczenia morza”, nie był żadnym ze znanych wówczas francuskich pisarzy. I że przed napisaniem tego utworu w ogóle nie był pisarzem. Miał wiele pseudonimów z pracy konspiracyjnej: Drieu, Santerre, Vercors, a jego prawdziwe nazwisko brzmiało: Jean Bruller.

Urodził się w 1902 roku. Z wykształcenia jest inżynierem. Z zamiłowania był grafikiem i satyrycznym rysownikiem. W latach 1925 do 1940, wydał sześć albumów satyrycznych wśród nich „Dwadzieścia jeden praktycznych przepisów na śmierć gwałtowną”, „Krzące wizje wojny”, „Nowy świat snów”.

Wybuch druga wojna światowa. Nazwisko Jean Bruller, zni-

ka z kulturalnego życia Francji. Rysownik i grafik Bruller, ranny w kampanii 1940 r., osiada w alpejskiej wsi Villiers-sur-Morin, wśród drzew i tak gorzkiego masywu Vercors. Nie sądzimy jednak, że panował tam idylliczny spokój i że echo groź przynosiło jedynie dźwięki dzwoneczków pasącego się bydła. Masyw górski Vercors znany był we Francji podczas wojny z ożywioną działalnością partyzantów z Ruchu Oporu, dla których lesisty krajobraz stanowił doskonałe schronienie i bazę wypadów.

Jean Bruller dużo czyta i literatura np. „Lorda Jima” Conrada nie pozostanie bez wpływu na „Milczenie morza”. Przypadkiem też trafiła mu do rąk pamiętnik Jungera, niemieckiego oficera, w którym Bruller znajduje opis okupowanej Francji, widzianej okiem wykształconego Niemca. Książka ma tytuł „Ogrody i drogi”. Ale Jean Bruller, od lat już Vercors (po latach powie: „Vercors zamordował Jean Bruller”), zajmuje się w tym czasie organizowaniem konspiracyjnej działalności francuskich pisarzy. To on był właśnie współzałożycielem podziemnego wydawnictwa „Editions de Minuit”, w którym ukazywały się, wszystkie pod pseudonimami, takie dzieła, jak: „Czarny ze szczytu” Mauriac, „Kochankowie z Awinionu” Elsy Triolet, dwa utwory Jeana Schlumbergera, „Milczenie morza” Vercorsa.

Jeśli zamilarem tej ostatniej książki było wykształcenie moralnej postawy Francuzów wobec okupanta, przez odcienie się od świata zbrodni i przemocy, przez bierny opór, przez milczący protest wobec petalnowskiej propagandy, zdrady, kolaboracji i hańby, to dalsze książki Vercorsa na tematy okupacyjne, są drażnieniem w głąb okupacyjnej problematyki, doszukiwaniem się

i ujawnianiem korzeni zła, próbą odtworzenia ludzkich reakcji na zbrodnie faszyzmu, poszukiwaniem drogowskazu dla ludzi zagubionych w mgłę okupacyjnej nocy. „Pochód ku gwiazdzie” i „Oreż nocy” są właśnie tymi dziełami, które śmiało podejmują skomplikowaną tematykę moralną czasów wojny. Problem zachowania godności osobistej i narodowej, w nawet najbardziej trudnych i poniżających człowieka okolicznościach, nawet w sytuacjach, których jedynym wyjściem jest śmierć — staje się na przykład centralnym problemem „Oreża nocy”.

Po wojnie twórczość Vercorsa z wojna oddala się od tematyki okupacyjnej i wojennej. Pisarza zaczynają interesować tematy coraz bardziej ogólnoludzkie, a równocześnie fascynują go problemy aktualnego czasu. W latach pięćdziesiątych Vercors zostaje aktywnym działaczem społecznym. W roku 1950 jest członkiem Światowej Rady Pokoju. Podczas wojny algierskiej protestuje przeciw przestępstwom popełnianym na ludność Algierii i na znak protestu oddała na ręce ówczesnego prezydenta republiki, jedno z najwyższych odznaczeń francuskich — Legię Honorową.

W latach 1948-1961 Vercors wydaje tom opowiadań „Oczy i światło”, eseje „Mniej więcej człowiek”, powieści: „Zwierzęta niezłazające”, „Silva”, „Na tym brzegu”. W roku bieżącym czytelnik polski miał możliwość zapoznania się ze świetną powieścią Vercorsa „Tratwa Me duzy”, wydaną we Francji cztery lata temu. Powieść, tytułem nawiązująca do słynnego obrazu Géricaulta, jakkolwiek współczesna, przynosi wspomnienia z czasów okupacji. Jak

widać autor i jego bohaterowie nie mogą się uwolnić od problematyki wojny i okupacji.

„Milczenie morza”, pierwsza książka Vercorsa, po latach trzydziestu nie straciła ze swej aktualności w stawianiu problemów moralnych i próbie odpowiedzi na postawione pytania. Dopiero dziś w całej pełni z perspektywy historycznej możemy ogarnąć przerażający bezmiar duchowych i materialnych szkód, jakie wyrządził ludzkości faszyzm. Tym mocniej dostrzegamy dziś, nieprzemijającą wartość dzieła Vercorsa.

Ostatnio na uniwersytecie w Aix-en-Provence „Milczenie morza”, stało się tematem wnikiwej rozprawy pani Jacqueline Bruller-Dauxois, synowej pisarza. Nie będziemy tu powtarzać uczonych wywodów autorki, stwierdzimy tylko, że omówiła bardzo dokładnie historię i wszelkie okoliczności powstania „Milczenia morza”, wykazując wiecznie żywe wartości dzieła i mistrzostwo autora w konstruowaniu, stylu, ujęciu tematu, utrzymaniu i wygrananiu nastroju.

Spośród trzech osób, bohaterów powieści, tylko jedna mówi. Ale ci, którzy nie odpowiadają, dają nam słowem Wernerowi von Ebrencac mówią przecież, choć milczą. Mówią nikłymi gestami rąk, nieruchomością ciała lub ich nieznacznym poruszeniem, wymownie odpowiadają oczyma i niemymi wargami. W ostatniej scenie milnie wreszcie i sam Werner. „Trwał wciąż nieruchomo, a w jego twarzy, nieruchomej i napiętej, oczy były jeszcze bardziej nieruchome i napięte...”

Odechł się Werner von Ebrencac pokonany przez „milczenie morza” i ta scena na zawsze pozostaje w pamięci czytelnika.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZECIECZNOŚĆ

SPORY dawne i nowe

Wrzesień 1939. Historyk przegląda podziemną prasę, kartkuje tajne broszury z lat okupacji, odnajdując w nich zapis sporów, jakie tuż po klęsce wrześniowej rozgorzały wokół jej oceny. Co raz wyraźniej zdaje sobie sprawę, że zalecenia rządu gen. Sikorskiego, aby na razie nie wszczynać „dyskusji na tematy przyczyn i odpowiedzialności za klęskę” — jak czytamy w jednym z rozkazów dla wojska — aby zwłaszcza wobec obcych te bolesne sprawy pomijać „taktownym milczeniem” — jak powiedziano w instrukcji dla placówek dyplomatycznych z 10 października 1939 — wyrażały pobo-

żne życzenia, którym nie można było uczynić zadość. Wstrząs psychiczny był zbyt głęboki, ogarnął zbyt szerokie kręgi społeczne, aby można było zamilknąć. Zresztą i sam rząd emigracyjny nie zupełnie wziął wodę w usta, skoro we wspomnianej instrukcji powiadał iż „nie zamierza obecnie pociągać do odpowiedzialności tych, którzy są sprawcami niebawale w historii klęski”. Słowa te zawierają przecież surowe oskarżenie, skierowane pod zrozu- miałym dla każdego adresem. Żeby nie było wątpliwości stwierdzano zaraz dalej, że „obrona czy uspra- wiedliwienie błędnej polity-

ki ostatnich lat” są najzupełniej sprzeczne z linią polityczną rządu, który ocenia je jako szkodliwe.

Zakazy nie mogły powstrzymać sporów i dyskusji, które rozpoczęły się jeszcze zanim działania zbrojne dobiegły końca: przybierały one na ogół kierunek wielce nieprzyjemny dla niedawnych sfer rządzących. Opinia publiczna, upajana mi- rażem mocarstwowej potęgi Polski, powszechnie oskarżała obóz sanacyjny za klęskę i związane z nią rozczarowania. Głosy surowej krytyki przedwojennego rządu znalazły też rychło swoje odzwierciedlenie na łamach podziemnej prasy i w tajnych broszurach politycznych. Z kręgów socjalistycznych padały wówczas ostre, zdecydowane słowa: „Jeżeli kiedykolwiek Polak, czy człowiek nam obcy lub wrogi, wmyślając się w ponurą tragedię wrześnią, chce winy uzurpatorskiego kierownictwa państwa przenieść na cały naród polski, obrona Warszawy i robotnicza Brygada ochotnicza będą zawsze zaprzeczeniem takich krzywdzących uogól-

nień”. Ale protesty przeciwko obwinianiu całego narodu służyły także do innych celów: pierwsza chronologicznie broszura, usiłująca bronić polityki sanacji, o- publikowana jeszcze w grudniu 1939 r., nosiła adekwatny do jej treści tytuł: „Czy wrzesień okrył niesławą naród polski?”. Rzecz jasna, że odpowiedź była przecząca, ale anonimowy autor starał się jednocześnie z trudem oczyścić sferę sanacyjną ze stawianych im zarzutów, choć sam widać nie bardzo był do tego przekonany, skoro nie zrezygnował z krótkiego zdania o odpowiedzialności „naszych czynników kierowniczych”. Silne akcenty krytyczne znajdujemy nie tylko w publicz- stwie opozycji — tak z lewicy, jak i z prawicy — ale i w oficjalnej prasie AK-owskiej. W „Biuletynie Informacyjnym” z 30 sierpnia 1940 r. można było więc przeczytać następujące zdania: „Nasza wrześniowa przegrana była w pewnej części winą naszego kierownictwa politycznego i woj- skowego. Klęska wrześniowa odsłoniła degenerację części warstwy kierowniczej narodu, małoduszność admini- stracji, bezdroża reżimu, niekompetencję kierownictwa wojakowego”. Sad ten kontrastował ostro z podkre- ślaniem dowodów polskiego bohaterstwa i poczucia hono- ru, oraz znaczenia pol- skiego „nie” rzuconego III Rzeszy. Później w publicz- stwie tej orientacji politycz- nej nasilały się akcenty „op-

tymistyczne”, rozwijana bę- dzie idea poświęcenia Polski dla koalicji. O poszukiwaniu odpowiedzialnych za klę- skę nie będzie już mowy. Blisko powiązany z obozem sanacyjnym płk Wacław Lipiński w broszurze o „Woj- nie polsko-niemieckiej” (I wyd. 1941, II wyd. 1943) będzie kategorięcznie stwier- dzał, że „błędy własne, jak- kie mogły być i były (...) nie miały na rezultat starcia polsko-niemieckiego żadnego istotnego wpływu”. Po- glądy te wzniciły burzę protestów. Z pozycji poli- tycznego konkurenta, prze- konanego, że gdyby władza była w jego rękach, losy państwa i narodu potoczy- łyby się odmiennie, oceniali wrzesień środowiska endec- kie. Z kręgów socjalistycz- nych w odpowiedzi na reha- bilitację naczelnego dowódz- twa wyszła broszura Aloj- zego Horaka krytycznie o- ceniająca działalność Ry- dza-Śmigłego w kampanii wrześniowej (1943). Spotkała się ona z zacietrzewionymi atakami epigonów sanacji, którym bardzo nie w smak były stwierdzenia w rodza- ju tego, że „katastrofa pol- skiej kampanii wrześniowej i późniejsze klęski Norwegii, Holandii, Belgii, Francji, Jugosławii i Grecji nie po- winny nam zastanawiać oczu na to, co złego było u nas”. I dalej: „Za katastrofę od- powiedzialny jest Edward Rydz jako naczelny wódz, oraz klika, która go na to stanowisko wyniosła dla własnej korzyści, jako po- słuszne narzędzie i obda-

rzyła bulawą marszałkow- ską przed wygraną woj- ny”. Wczytując się w polemiz- ne wypowiedzi historyk spo- strzeża, że z upływem cza- su spory o wrzesień przy- bierały na sile, coraz ży- wiej angażowały publicz- stów podziemnej prasy. W tej arcyważnej sprawie nie było zgody, przeciwnie, po- laryzowały się stanowiska, zaostrzały pretensje. Ów- czesne kontrowersje uświa- damiają nam zacieraające się dziś w perspektywie upły- nionego czasu wązkie zja- wisko, mianowicie narasta- nie krytycyzmu społeczeń- stwa w stosunku do obozu, który do niedawna dźwiz- ster władzy, teraz zaś ma- rzył o jej kontynuacji. Ów krytycyzm, prowadzący nie- jednokrotnie do sądów gorz- kich, często — jak dzisiaj wiemy — w swej gorczy- przesadnych, wykraczał da- leko poza środowiska lewicy społecznej, choć one wła- śnie potrafiły wysnuć zeń najważniejsze wnioski. Ów- czesne spory o wrzesień, w których sanacji nie udawało się zbierać laurów, były świadectwem dokonujących się przemian w świadomości społeczeństwa, tych prze- mian, które później znajdą swoją kontynuację w zmie- nionych warunkach ustroj- wo-politycznych nowej od- rodzonej Polski.

LEKTOR

Zdarzenia i zwierzenia

Miesiąc pamięci

Na granitowym bloku obok szarego muru dawnej fabryki Abbeo przy ulicy Zgierskiej ten napis: „Tu spoczywamy zamordowani w przeddzień wolności. Imiona i ciała zabrał nam ogień — żyjemy tylko w waszej pamięci. Niechaj śmierć tak niebudząca nie powtórzy się...” Radogoszcz — dawna wioska, przedmieście Łodzi — dziś symbol wojny i faszystowskiej zbrodni.

Przywołujemy dziś w pa- mięci tamten czarny dym nad miastem... Przywołamy także imio- na tych, którzy pierwsi opuścili „Erweitertes Poli- zeigefangnis Radegast” jesz- cze jesienią 1939, wywiezie- ni odkrytymi ciężarówkami w łucmierskie lasy: Prezy- dent Łodzi, Aleksy Rzew- ski, dyrektor Banku, Kazi- mierz Rundo, komunista Bronisław Marszałek, socja- lista Marceł Jaroszek, dzia-

łacz katolicki Zygmunt Podgórski, artysta-malarz Karol Hiller, ludowiec Wła- dysław Łuczowski, komu- nista Bronisław Pohl, poseł Marian Wadowski, dzien- nikarz: Stypulkowski, Olta- szewski, Nullus, Sapocin- ski...

W lasach łucmierskich zamordowano jesienią 1939 roku prawie pół tysi- acy osób — działaczy spo- łecznych i partyjnych okre- su międzywojennego, inte- ligencji. Trudno dziś ziden- tyfikować te ofiary mite- rowskiego terroru. Wiele nazwisk nie znamy do dziś.

Nie znamy nazwiska dziesięcioletniego chłopca, zwanego przez więźniów „Kruszynką”, rozstrzelanego 1 kwietnia 1942 roku na dziedzińcu Radogoszcza. Nie znamy nazwiska radzieckie- go spadochroniarza, którego zastrzelił komendant Pelz-

hausen przy kolejnej pró- bie ucieczki. Spadochroniarz czołgał się pod osłoną nocy po dachu więziennego bu- dynku, usiłując stamtąd przedostać się przez mur. Ale wcześniej zauważył go strażnicy. Kilka strzałów — i ciężko ranny uciekinier stoczył się na ziemię. Tutaj dobił go Walter Pelzhausen.

Radogoszcz — symbol i przerażenie, wysoki płomień nad miastem u progu wol- ności. Radogoszcz — pom- nik i cmentarz, dowód na- szej pamięci.

„Każdy z nas tym bogatszy co tutaj się stało. Ich krwawą pulsującą naszę ocalale ciało. Oni ciężar cierpienia ziemi równowagi, przekroczyli granicę naszej wyobraźni. Ich popioły pod ziemią legły u korzeni sa przyczyna, że rośnie świat — że się zieleni...” 17 stycznia 1945 roku, o

godz. 7 rano granaty, wrzu- cone do cel na parterze, wzniciły ogień. W gmachu już słychać było detonacje radzieckiej artylerii... Feliks Błotnicki z Łodzi tak zezna- wał przed władzami polski- mi: „Niemcy zamknęli drzwi, a na korytarzu pu- ścił gaz łzawiący. Na to za- częliśmy tłuc szyby. Niektó- rzy więźniowie wyskakowali przez okna, lecz zostali za- strzeleni przez stojących na podwórzu Niemców... W tym czasie więźniowie nie- którzy wieszali się, inni do- stawali szoków nerwowych, krzyczeli, tańczyli, śpiewali, inni świeli w ciągu tych chwil”.

Fragment innego zeznania przed prok. Marią Nowic- ką, która później oskarżała w procesie Pelzhausena: „Niemcy stanęli w drzwiach z karabinami maszynowy- mi, zwołali dziesięcio- i

dwunastoletnich chłopców około dwunastu, cofnęli się w tył i wszystkich chłop- ców rozstrzelali... Pelzhausen był obecny przy roz- strzelaniu chłopców. Po- tem zaczęli strzelać do in- nych więźniów...”

W piątek, 19 stycznia, ok. godz. 11.30 czołgi radzieckie stanęły przed bramą rado- goskiego więzienia. Godziny wolności nie doczekały setki więźniów, których zwęgl- onymi ciałami zasłany był dziedziniec Radogoszcza.

Oni to dziś — w Miesiącu Pamięci Narodowej — wo- lają do nas z granitowego bloku pomnika: „Imiona i ciała zabrał nam ogień — żyjemy tylko w waszej pa- mięci. Niechaj śmierć tak niebudząca nie powtórzy się...”

WIDOK

Lewym okiem

Co dalej?

Czytałem niedawno w hamburskim tygodniku „Die Zeit” reportaż dziennikarki zachodniemieckiej z wi- zyty w obozie wojsk naro- dowych chińskich w północ- nej Birmie. Dwadzieścia pa- re lat temu duże oddziały Czang-Kai-Szeka, wycofu- jąc się na południe przed armią czerwoną Chin, prze- kroczyły granicę Birmy i osiadły w niedostępnych dżunglach tego kraju. Wy- obraźcie sobie — siedzą tam do dziś!

Przez kilka lat ewakuo- wano stopniowo żołnierzy samolotami na Tajwan. Po- tem ewakuacja ustala, na- tomniast trwało jeszcze jakiś czas zaopatrywanie wy- chodźców w żywność, lekar- stwa i broń drogą lotniczą,

również z Tajwanu. Potem birmańczy stracili jeden z takich samolotów, wybuchł mały, polityczny skandal i zaopatrzenia zaniechano.

Kilkanaście tysięcy starze- jących się już, albo wręcz starych mężczyzn — prawie wyłącznie mężczyzn — sie- dzi w głębi lasów dwadzie- ścia kilka lat; według rela- cji dziennikarki, która do- tarła do nich również drogą powietrzną, pobudowali całe osiedla solidnych baraków, założyli pola i ogrody, zor- ganizowali się bardzo do- brze, mają kluby, szpital i szkołę, mają oczywiście cmentarz. No i co dalej? Co dalej, biedni, nieprzejedna- ni, czekający na jakąś nie- prawdopodobną szansę, o- szukani, oszukujący się, wyrzuceni za burtę? Uwa-

żają się wciąż za żołnierzy, jak ów Japończyk, wykryty niedawno w ziemiance, w dżungli, na wyspie Guam. Politycznie nie mają żadne- go znaczenia. Natomiast sta- nowią niewątpliwie kłopot dla normalnie funkcjonują- cych społeczeństw kilku krajów, są ogniskiem niepo- koju, zadrą, rezerwuarem dywersji, sabotażu, rozbój- ni. Poza tym świat o nich nie wie, nie chce i nie potrze- buje wiedzieć. Wyrzuceni za burtę.

W analogicznej sytuacji są dziś na świecie miliony lu- dzi. Kiedy człowiek spró- buje zestawzić wszystkie takie przypadki, wyobrazić sobie żywych, normalnych ludzi — nie same tylko liczby — normalnych ludzi, skazanych przez wypadki, których czę- sto nie rozumieją, które są dla nich tylko niszczącym żywiołem, na wieczną tym- czasowość, na dożywotnie, beznadziejne czekanie, na brak domu, rodziny, pracy, przyjaciół, na brak ojczy- zny — przerażenie ogarnia. W żadnej chyba epoce nie było na świecie takiego za- mieszanania, obejmującego tak wielkie masy ludzi.

Z rzadka przypominamy

sobie o setkach tysięcy Pa- lestyńczyków, węglujących ponad dwadzieścia lat w obozach wysiedleńczych, w Syrii, Libanie, Jemenie. Ca- łe rodziny, całe nowe poko- lenia urodzonych i dorosłych na przystanku, na etapie, w baracku, na zupie z lito- siernego kotła. A to prze- cież nie wszyscy. 300 tysię- cy mieszkańców Angoli uciekło przed Portugalczyka- mi do Konga — Kinszas. Z tego samego Konga pra- wie dwa miliony osób schro- niło się na terenie Zambii.

Oprócz nich, 75 tysięcy Kongijczyków zbiegło do Ugandy, która z kolei — jak wiemy z ostatnich do- niesień prasowych — wysie- dliła gwałtem i z dnia na dzień 50 tysięcy mieszkań- ców, pochodzenia azjaty- ckiego. Zarządzenie o wysie- dleniu wydał generał Amin, który objął rządy drogą za- machu stanu w pierwszej połowie 1971 roku. Podczas tego zamachu uciekło przed prześladowaniami prawie dwa tysiące żołnierzy i ofi- cerów Ugandy do Tanzanii — siedzą tam od roku i u- wazają się za wojsko, jak Chińczycy w Birmie. Dwa tysiące w tamtych okoli-

cach świata to dużo. Ci żoł- nierze — emigranci — mogą się czasem śnić generałowi Aminowi.

115 tysięcy Sudańczyków przebywa od kilku lat w obozach wysiedleńczych w Kongu — Kinszas. W ogóle w tym kraju — z którego jak wspomniano, uciekły w popłochu miliony tuziem- ców — przebywa prawie trzy i pół miliona uchodź- ców z różnych niepodległych państw Afryki. Co będzie dalej z tymi wszystkimi mi- lionami?

Niedawno przecież skoń- czyła się niepojęta tragedia dziesięciu milionów Bengal- czyków z byłego wschodnie- go Pakistanu. W prasie czy- tamy, że miliony te powró- ciły do swej wyzwolonej ojczyzny, ale wiemy dobrze, że tak łatwo z dnia na dzień się nie wraca. Na pewno ty- siące, a tysiące blakają się jeszcze po różnych traktach, po obozach przejściowych, kontrolnych, przesiedleń- czych, repatriacyjnych. Nazw wymyślono sporo, tragedia ludzka jest zawsze ta sama: wyrwani z korzeniami, wy- rzuceni za burtę.

A już i w nowym pań- stwie — Bengali — zaczy-

nają się niesnaski: znów ja- kieś plemię domaga się sa- mostanowienia, stawiając z kolei rząd bengalski w po- zycji ciemiężcy. Znów są i będą uchodźcy, a w Azji to idzie od razu w ciężkie dziesiątki tysięcy. Co dalej?

Stara Europa wydawała się zawsze wiecznie wrzą- cym kotłem sprzecznych in- teresów, bluzgającym pianą uchodźców na dalekie stro- ny świata. Dziś wygląda jak oaza stabilizacji wobec te- go, co się wyprawia w in- nych częściach globu. Niech nas jednak ta stabilizacja zanadto nie usypia. Pokój jest jeden i świat jest je- den. Pożytecznym jest przy- pomnieć sobie, przynajmniej od czasu do czasu, jak wie- le nieszczęścia, nędzy i gło- du czeka wciąż na rozum- ne, życzliwe i ludzkie roz- wiązanie.

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jerzy Wawrzak (redaktor naczelny), Karol Badziak, Konrad Frejdlch, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzisław Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański, Lucjusz Włodkowski (sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 98, telefon: 244-78, 217-98 oraz 293-00 wew. 28, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłoszy”. Druk Pra- sowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Zwirki 17. Zam. 2106. D-4.